

PRZEGLĄD WILEŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA:

Z przesyłką poczt. lub dostarcz. do domu
Rocznie 8.—
Półrocznie 4.00
Kwartalnie 2.00

REDAKCJA i ADMINISTRACJA

Ś. Jerska 15 m. 26

Otwarte codziennie prócz świąt od
11 godziny do 4 pp.

Skrzynka pocztowa № 52

CENY OGŁOSZEŃ:

Przed tekstem za wiersz petitu 50 k.
W tekście (nadesłane) 1 rb.
Po tekście 20 k.

Od Redakcji.

Dotychczasowy kierownik „Przeglądu Wileńskiego”, p. Ludwik Abramowicz, który pismo nasze do życia powołał i zapewnił mu—pomimo ciężkich warunków wydawniczych—poważny głos w prasie polskiej, ku wielkiemu naszemu żalowi, usunął się z zajmowanego dotąd stanowiska.

Przechodząc na szerszą, warszawską, arenę, p. Abramowicz nie zrywa jednak ścisłego kontaktu z Wilnem, ani też z naszym pismem, którego współpracownikiem nadal pozostaje.

Wystąpienie p. Ludwika Abramowicza nie wpłynie na zmianę idejowego kierunku „Przeglądu Wileńskiego”. Komitet redakcyjny pisma w dawnym pozostaje składzie.

W poszukiwaniu ojczyzny.

Rewizja haseł i programów narodowych, obliczanie swych sił, rozważanie koniunktur społeczno-politycznych, zastanawianie się nad metodami działania, niewątpliwie tylko pożytek przynieść może sprawie narodowej i z tego względu wszelkie próby analizy i krytycznego badania na uznanie zasługiwać winny.

Jeno umysły ciasne, doktrynerskie, trzymające się oburącz gotowych uświęconych formułek, krzywym okiem patrzą na każdą myśl świeżą, odbiegającą od utartych szablonów i z zasady wrogo są usposobione przeciwko wszelkiemu „mędrkowaniu”.

P. Czesław Jankowski, były redaktor „Kur-

jera Litewskiego”, nie należy do typów ortodoksyjnych. Przeciwnie, umysł ma lotny i twórczy, skory do snucia najprzeróżniejszych idei, mających zwykle tę jednak wadę, że nie są dostatecznie przetrawione i nieraz jaskrawo się sobie przeciwstawiają.

Ostatnie jego wystąpienie na łamach „Prawdy”, które narobiło sporo hałasu w prasie polskiej, zaliczyć trzeba do nader niefortunnych. W szeregu artykułów, wydanych następnie w osobnej broszurze p. t. „Naród polski i jego ojczyzna”, p. Czesław Jankowski usiłuje udowodnić, że rozproszenie się sił polskich po olbrzymich przestrzeniach Rzeczypospolitej osłabiło jądro etnograficznej Polski i nawołuje do wycofywania z t. zw. kresów, polskich zasobów kulturalnych i kapitalistycznych, w celu zasilenia niemi owego jądra.

Taka jest myśl przewodnia broszury p. Jankowskiego.

W prasie warszawskiej rozległy się z tego powodu głosy oburzenia, oskarżające autora niemal o zaprzaństwo narodowe.

Niesłusznie.

P. Czesław Jankowski ujął kwestję z punktu widzenia popularnego dziś programu „swój do swego” i rozwinął go konsekwentnie aż do granic ostatecznych, mając na względzie przede wszystkim i jedynie wzmocnienie stanu ekonomicznego Polski. Z tego stanowiska ma niewątpliwie słuszność, twierdząc, że nabycie i utrzymanie w polskim ręku jednej kamienicy w Warszawie jest czynem patriotycznym, sto razy donioślejszym, niż tkwienie z pełną kabzą i w pełni sił życiowych, albo z resztkami jednej i drugich gdzieś w mińskich błotach, pod kurlandzką granicą, na czernihowskich czarnoziomach, lub też gdzieś pod Kołomyją”.

W dobie, gdy patriotyzm poczęto identyfikować z umiejętnością korzystnej lokaty kapitałów, zapatrywanie powyższe nie powinno nikogo dziwić.

O wiele bardziej dziwną jest metamorfoza p. Czesława Jankowskiego, jakiej uległ od czasu, gdy organizował na Litwie stronnictwo „krajowców”. Przeskok to zbyt rażący. Wpierw tylko Litwa i Białoruś, dziś tylko Warszawa...

Zbyt subiektywnym jest w swej działalności publicystyczno-politycznej p. Czesław Jankowski i to odbiera wszelką wartość jego koncepcjom, zależnym od przemijających nastrojów autora, jego chwilowych sympatji lub antypatji, jego złego lub dobrego humoru...

W danym wypadku, pomysły p. Cz. Jankowskiego o tyle pozbawione są jakiegokolwiek podstawy realnej, iż do propagowanej przezeń dezercji z „kresów” na bruk warszawski nikt z bezpośrednio zainteresowanych w tem — nie ma żadnej ochoty.

Trudno powstrzymać się od uśmiechu ironicznego, gdy się widzi, że ktoś, co takie niegdyś namiętne walki staczał z tendencjami centralistycznymi Korony, co tak gorąco protestował przeciwko udzielaniu w Warszawie rad i dyrektyw społeczeństwu polskiemu na Litwie i Rusi, obecnie popełnia błąd i tworzy programy, zapoznające czynnik najważniejszy: pragnienia i dążenia tych, dla kogo wskazania te są przeznaczone.

Zaalarmowana projektem p. Cz. Jankowskiego prasa warszawska może się uspokoić. Społeczeństwo polskie na Litwie i Białorusi nie myśli bynajmniej opuszczać swych odwiecznych placówek i nie zamierza szukać łatwiejszych warunków bytu nad Wisłą, chociażby „wartość kamienic warszawskich” podniosła się do zawrotnej wysokości“.

Jednostki poszczególnie, oczywiście, będą opuszczały kraj, jak to czyniły i czynią dotąd, z tych lub innych względów, lecz o gromadnej emigracji nie może być mowy. I nie dlatego, jak sądzi p. J. Hł. w „Kurjerze Litewskim“, że polskie posterunki kresowe stanowią pierwszą linię obronną dla centrum narodowego, a więc z poczucia obowiązku nadstawiania swej piersi, by osłabić ciosy, wymierzone w Królestwo Polskie, lecz poprostu dlatego, że polacy na Litwie i Białorusi czują się zrośnięci z tym krajem, że stanowią organiczną jego część, że są doń przywiązani, że uważają go za swą ojczyznę.

Cóż poradzić, gdy ktoś bardziej kocha dyrwany i rojsty litewskie, niż równiny mazowieckie

lub kujawskie, gdy komuś jest miłszy widok krętych zaułków wileńskich, niż wspaniałych i rojnych ulic warszawskich? Żadne wyrafinowane rozumowanie nie zagłuszy sentymentu, zwłaszcza, gdy jest oparte na fałszywych i nieuzasadnionych przesłankach.

Boć mylnem jest z gruntu założenie autora, że idea Jagiellońska nic narodowi polskiemu nie dała. Nie wdając się w roztrząsania historyczne, któreby za daleko nas zaprowadziły, dość wskazać na Mickiewicza i fakt niewątpliwy z bogacenia kultury polskiej pierwiastkami ruskimi i litewskimi, by twierdzenie to obalić.

Wprawdzie, nie brak dziś statystów, co „gwiżdżą na romantyczną trójcę” i więcej od skarłów poezji cenią sklep z towarami łokciowemi. Lecz na szczęście idejologia ta nie stała się dotąd panującą. Do stawiania pomników kupcom i kamienicznikom jeszcze nie doszliśmy.

Jeszcze walor pewien mają ideały i aspiracje, szersze i głębsze, niż troska o pomnażanie zastępu polskich rentjerów. Mały pożytek z nich nad Wilją czy Dnieprem, jeszcze mniejszy — nad Wisłą. Nie kapitałów brak w Polsce, lecz ludzi. A cóż wart człowiek, który dla *względów materialnych* przenosi się lekko z miejsca na miejsce? Lichy to materiał na działacza patriotycznego. Odpowiedni raczej na wyznawcę zasady: *ibi bene, ubi patria...*

I tu docieramy do jądra kwestji, poruszonej przez p. Czesława Jankowskiego. Niepokoi go mocno zagadnienie, gdzie jest ojczyzna 22-miljonowego narodu polskiego; nie może bowiem jej dostrzec na mapie i w wykazach urzędowych, w świadomości zaś własnej nie znajduje wyczerpującej odpowiedzi. Istotnie, trudno rozstrzygnąć pytanie powyższe temu, kto instynktem nie czuje, gdzie jest jego kraj rodzinny, kto zatracił czy nie posiada wcale zdolności do ukochań i tęsknot.

Serce powinno podpowiadać każdemu polakowi, gdzie jest jego ojczyzna: nad Wisłą czy nad Wartą, nad Niemnem czy nad Dnieprem. Niema państwa Polskiego, lecz są tradycje Rzeczypospolitej, które wyraźnie zakreślają granice osiadłości

WACŁAW MAKOWSKI.

Marzenie i czyn.

Tak było w dziedzinie spekulacji — a w życiu? W życiu zachodziły wciąż i zachodzą ustosunkowania najrozmaitsze. Przyroda w swojej niesłychanej rozrzutności stwarza i powołuje do życia tysiące przeróżnych odmian, z których utrzymuje się część maluchna zaledwie. To też w każdym poszczególnym osobniku ludzkim rozmaicie ukształtować się musiał stosunek ruchowych i poznawczych pierwiastków jego psychiki. Tem rozmaiciej, że nie były to tylko dwa pierwiastki, ale dwie złożone grupy, same przez się wysoce skomplikowane.

Jednakże wobec antytezy, która nas dzisiaj obchodzi, możemy powiedzieć, że ludzie rozpadają się na dwa wielkie zasadnicze odłamy: tych, którzy żyją i tych, którzy patrzą jak życie płynie. Może nawet większość, może każdy ma w sobie przyplawy i odpływy, zmienną przewagę jednego z dwóch do życia stosunków.

„W każdym z nas — pisze *Gabrjel Drommard* w książce „*le Rêve et l'Action*” — tkwi coś z komedjanta i coś z gapia. Czasami jednak komedjant nas opuszcza, a gap osamotniony ziewa przed stolami z tarcic, na których gromada kuglarzy pokazuje sztuki. Jesteśmy wówczas jakby na wierzchołku, a przedstawienie odbywa się w dole. Wydaje się nam z góry, że jakieś marjonetki pędzą przed naszymi oczyma i tłoczą się w jakimś szalonym wyścigu, a my widzimy dokładnie, jak puste są ich pragnienia, jak złudne obawy i nadzieje, jak śmieszne ich nienawiści i ukochania. — Ale oto za chwilę opuścił nas gap’ i komedjant wraca do swojej roli i pokazuje z kolei sztuki przed gromadą ciekawych. Schodzimy z galerji, wstępujemy na scenę i jesteśmy, niestety, tak samo śmieszni, jak najśmieszniejsza z tych marjonetek, któreśmy oglądali zwyżką“.

W pojedynczym wszakże człowieku nie jest przeciwstawienie to zawsze tak jaskrawe, a jeśli dochodzi do wysokiego stopnia jaskrawości, to niewątpliwie podejrzewać należy, że kontemplacja zwycięży i sparaliżuje aktywne zachcianki woli.

Tak wiele pisano o Hamlecie, tyle studjów

narodu polskiego. Niema w tem żadnej sprzeczności, jeżeli jeden polak nazwie swą ojczyznę Litwą, a inny rdzenną Polskę. Bo i tu i tam jest naród polski. Trudność powstaje dopiero wówczas gdy zapytany nie umie określić swego poczucia obywatelskiego, ogarnąć zaś myślą i uczuciem całości nie jest w stanie.

Człowiek, pozbawiony zarówno instynktu, jak oparcia ideowego, traci grunt pod nogami, nie może znaleźć wyjścia z labiryntu dociekań teoretycznych i, pragnąc ułatwić sobie zadanie sformulowaniem jaknajmniej skomplikowanego światopoglądu, ucieka się do operacji amputowania wszystkich części, zawadzających mu w budowie jednolitego programu.

Oto bodaj istotna geneza najświeższej koncepcji politycznej p. Czesława Jankowskiego. Wartości pozytywnej wskazania te nie mają żadnej, szkody również nie wyrządzą, bo do przekonania ogółu nie trafiają, pewien pożytek natomiast już przyniosły. Prasa warszawska, traktująca z zadziwiającą obojętnością kwestję tak zwanych przez siebie „kresów“, tym razem się poruszyła i zamieściła szereg artykułów, mniej lub więcej trafnie oświetlających niespodziane wystąpienie autora monografii powiatu oszmiańskiego.

L. A.

Niema tego złego...

Przyszłość i rozwój narodu ukraińskiego można uważać za zapewnione nie tylko w Galicji, lecz i w Rosji.

Jeżeli ktokolwiek miał co do tego jakieś wątpliwości — dziś muszą one ustąpić; ukraińcy posiadli w czasach ostatnich agitatorów — uświadamiaczy nielada: Pułyszkiewicz i Sawienkowie stanęli dziś na czele ruchu ukraińskiego i upaść mu, zginąć nie dadzą. Nie będzie mógł on nadal zamykać się w ramach dumek i pieśni, w ramach kulturywowania jeno

psychologicznych pochłonał, znany go wszyscy, tego człowieka, który szukał wciąż drogi, a znaleźć jej nie mógł, który chciał wciąż czynu, a na czyn zdobyć się nie mógł, bo miał w sobie za wiele kontemplacji, za wiele widział, patrzył, rozważał, bo myśl bezwzględnie opanowała w nim wolę. Ale Hamlet jest, mimo wszystko, tylko kreacją dramaturga; historia zna ludzi żywych, ludzi niepoślednich, którzy tak samo potrafili rozbijać duszę swoją na cząstki i widzieć całą jej niemoc czynu, właśnie z przewagi poznawczych pierwiastków psychiki płynącą.

Oto cały sceptycyzm, pesymizm, oto wielka część nauki Buddy, wszystko to bierze początek z tej przewagi kontemplacji, przyglądania się życiu, rozumowania nad wolą.

Oto *Maine de Biran*, filozof francuski połowy XIX w., którego imię dzisiaj znowu wraca na widownię, gdyż nie jedną myśl za nim powtórzył Bergson, — *Maine de Biran* zostawia dziennik, pisany wciąż lat trzydziestu; ze szczerością zaciekawionego nad samym sobą filozofa pokazuje nam duszę człowieka; posłuchajmy: „Nigdy nie czuję się przygotowanym do tego aby zrobić coś,

dźwięcznego i melodyjnego języka rozlewnych stepów i malowniczych jarów Ukrainy. Nie będzie mógł nadal unikać wypowiedania się w sprawach politycznych, w sprawach przyszłości i dążeń drugiego ilościowo narodu słowiańskiego. Na to ukraińcom — „ludzie prawdziwie rosyjscy“ — wbrew przestrogom Rodiczewów — nie pozwolą.

Skończył się okres pierwszy, poczwarkowy, świadomości narodowościowej ukraińców. Nastaje okres drugi: wyodrębniania się. Okres — to ciężki, pełen walk i niepokoju, lecz owocny dla przeszłości narodu.

Bo są w życiu narodów stadja, okresy, gdy represje, przeciwko nim skierowane, przynoszą im szkodę mniejszą, niż korzyść; gdy, tamując jedne potrzeby życia, budzą w nich inne, szersze; gdy, pragnąc stłumić, zniszczyć ich istnienie, — są właśnie bodźcem uświadomienia, odporu żywszego i rozwoju.

Ma się rozumieć, zdarza się to nie zawsze i nie wszędzie.

Lecz tam, gdzie naród dopiero się budzi, formuje, a ma do czynienia z przemocą czysto fizyczną, niezbyt wiele przywyszkająca go pod względem kultury i uświadomienia narodowego, proces ten zyskuje wszelkie szanse powodzenia.

Zakazy, szykany i represje z okazji setnej rocznicy urodzin największego poety ukraińskiego, *Tarasa Szewczenki*, — są tą iskrą, która w płomień twórczy dla ukraińców całego południa Rosji się zamieni; która przebudzi niezawodnie i roznieci w szerokich masach ludowych poczucie odrębności.

„Kobzarz“ *Szewczenki* jest nie mniej drogi dla ludu ukraińskiego, niż dla nas „*Pan Tadeusz*“. W *Szewczence* po raz pierwszy posiadał ukraińiec — genialny wyraz swoich cierpień, tęsknot, wspomnień i marzeń. Jest on najukochańszym i najgłębszym poetą — pieśniarzem Ukrainy, choć, może, nie zawsze odczuty, zrozumiany należycie. Można przeto wyobrazić, sobie, jak gwałtowny i głęboki przewrót w cichej i uległej napozór, lecz namiętej i zawziętej zarazem duszy ludu tego uczyni wiadomością, że pomnik poety, na który zbierano grosze po całej

mówić, lub pisać, a czy to pomiędzy ludźmi, czy u samotności skryte poczucie niedowierzania wraz w myślą przesadną o trudności najprostszyc rzeczy, które mam przedsięwziąć, sprawiają że się waham, zatrzymuję się, kiedy należałoby tylko iść. Wszystko się komplikuje i piętury w moich uprzedzonych oczach, a należałoby tylko widzieć rzeczy takimi, jak są, aby uznać że są proste i łatwe... Życie moje upływa tak w beczynności, bardziej męczącej, niż porządna praca... Przygotowuję się wciąż do pracy; mam cały wysiłek jej i zmęczenie, a nic nie robię“...

A jednak ten sam *Maine de Biran* stwarza poważny grunt filozoficzny, jak mówię, odpowiedni do tego, aby na nim mogła się budować, a przynajmniej z niego korzystać filozofia pragmatyczna, filozofia woli i czynu.

Frederic Amiel, drugi marzyciel i autor dziennika mniej więcej tamtemu współczesny i nie lubiący go właśnie dlatego, że w nim siebie samego odnajdywał, mówi: „*Maine de Biran* uważa dlatego wolę za całokształt człowieka, że miał jej za mało. Człowiek bowiem ceni przedewszystkiem to,

Ukraińce, nie będzie postawiony; że to, co najdroższe i najbliższe duszy, jest zarazem—niedozwolone.

Inaczej poczną dźwięczeć w sercu smutne słowa poety:

„W więzieniu liczę dni i noce,
Już i liczyć trudno!...“

Odczuł to do pewnego stopnia i przestraszył się — potomek kozaków ukraińskich, poseł do Dumy z gubernji połtawskiej, hr. Kapnist, który w czasie debatów nad przyjęciem interpelacji, wystosowanej do ministra Maklakowa, w sprawie rzeczonoego wzbronionego obchodu — starał się obłudnie czy naiwnie przekonać administrację, iż tego rodzaju zakazami rani uczucia patriotyczne — nie tylko „zwarjowanych separatystów“, lecz i wszystkich tych, których jedyną winą jest, że kochają swoją przyrodę, swoją przeszłość, swoje obyczaje.

Wywody te przecież tak samo, jak i ostrzeżenie kadetów, tych jedynych, logicznych i konsekwentnych obrońców całości państwa, nie zostały uwzględnione.

Na spóżyte w Rosji niema miejsca; możliwe jest jedynie spożycie — wchłanianie pierwiastków obcych podług odwiecznej recepty, ... aż do skutku. Nie darmo też zaniepokojeni, kadeci coraz częściej w czasach ostatnich porównują Rosję z Rzymem Cezarów.

Jest „jakaś siła fatalna“, która rydwanowi maszyny biurokratycznej w raz obranej drodze zatrzymać się, ani z niej zawrócić nie daje.

I poczną się spełniać słowa testamentu Szewczenki.

„Pochowajcie, sami wstańcie...“

Ostatnie wydarzenia w Galicji: przyście do skutku reformy wyborczej, a więc czasowa choćby uгода polsko-ukraińska, oraz możliwość w niedługim czasie utworzenia tam uniwersytetu ukraińskiego — przyprawiły nacjonalistów rosyjskich o gorączkowy wprost stan podniecenia. Doszło do tego, że choleryczny, mimo zgrzybiałego wieku, redaktor i wydawca „Grażdanina“ poczną domagać się wojny z Austrią, wojny... o uniwersytet.

— Jakto! W granicach ościennego mocarstwa tworzą się podwaliny rozwoju pobratymczego, słowiańskiego narodu!

Nie, to niedopuszczalne! Uszczęśliwiać słowian może i ma prawo tylko macierz wszechsłowiańska, i to podług własnej recepty. Nie ma prawa uszczęśliwiać się samodzielnie nawet sam faworyt — pod grozą... śmierci. Aby zaś nie pozostało żadnych wątpliwości co do tego, w jaki sposób owo uszczęśliwienie macierzyńskie winno się odbywać, postanowili nacjonałiści nie dopuścić nawet do rzeczy tak niewinnej, jak obchód jubileuszowy Szewczenki.

Jest to zapewne preludjum tylko do dalszych kroków wszechsłowiańskich, zmierzających ku przyhołubieniu niewdzięcznych.

Stanowisko nauczycieli ludowych z Ukrainy na grudniowym zjeździe w Petersburgu, ich śmiałe domaganie się praw dla języka narodowego, podkreślanie jego odrębności — niezawodnie ściągnie już w czasie najbliższym odpowiednie zarządzenia czynników miarodajnych.

Uświadamianie rozpocznie się na całej linii. A w procesie tym Galicja wschodnia będzie odgrywała tę samą rolę, jaką miał Kraków dla nas i dla Królestwa.

Grozę sytuacji pojmują nietylko nacjonałiści i biurokraci, lecz i kadeci, postępowcy. „Riecz“ — z powodu zakazu obchodu jubileuszu Szewczenki — rozpoczyna artykuł wstępny z d. 13 (26) lutego (№ 43) ustępem: „Do liczby zagadnień, niepokojących życie rosyjskie, (zagadnień), które powracają perjodycznie na mównicę dumską, zaliczyć należy i kwestję ukraińską“. W dalszym zaś ciągu, poddając krytyce druzgocącej — zarówno wystąpienie hr. Kapnista, który starał się zbagatelizować ruch ukraiński, jako też — Puryszkiewicza, który wierzy jeno w skuteczność ucisku — proponuje zastanowić się poważnie nad kwestją ukraińską. Sama nie wypowiada sądu *de merito*. Ale z ujęcia sprawy, jako też z głosów poprzednich, które mieliśmy możliwość dotąd poznać (prof. Pogodin, Struwe), widać aż nadto, że ruch ukraiński — dla postępowców i kadetów rosyjskich — sympatyczny nie jest. Komplikuje on za-

czego nie posiada i wyolbrzymia to wszystko czego pożąda“.

Ale i Amiel tak samo niezdolny jest do czynu, tylko że nawet go nie pożąda.

Wieczny błękit przestrzeni bez końca, bez miary,

Owija w płaszcz spokoju świat i jego męty.

Człowieku! I ty owiń życia nikle mary

W wieczności twej pogodnej jasne firmamenty.

(Amiel *Penseroso*).

Amiel jest poetą, jest umysłem subtelnym niezwykle, przenikliwym; niejedno z jego filozoficznych postrzeżeń mogło zapłodnić umysł inny i wzrosnąć w realny kształt, albo raczej odwrotnie, umysł jego potrzebowałby zapłodnienia woli, a wówczas wyjść by mógł dopiero poza samą pożytkliwość rozmyślań.

„Wyraźnie słyszę, jak spadają krople mego życia w otwartą otchań wieczności. Czuję, jak dni moje biegną naprzeciw śmierci. Wszystkie pozostałe tygodnie, miesiące, lub lata, podczas których pić jeszcze będę światło słoneczne, wydają mi się zaledwie jedną nocą, jedną nocą letnią, której się nie liczy, gdyż musi przeminąć“. (11. I. 1867).

A w innym miejscu: „Pragnienie poznania, zwrócone ku sobie samemu, ukarane jest, jak ciekawość Psyche, ucieczką ukochanego przedmiotu. Siła powinna pozostać dla siebie tajemniczą, ginie bowiem z chwilą, gdy przeniknie własną tajemnicę. Twierdziłem, że świadomość świadomości jest kressem analizy, ale analiza, doprowadzona do ostatecznych granic, sama się pożera, jak wąż egipski... i t. d. (3. II. 1862).

Ludzie ci, Hamlety i Amiele, to żywe przykłady wyzwolenia umysłu, wyodrębnienia się, zerwania całkowitego z tym starym towarzyszem, jakim była wola. Rozumie to i Amiel, kiedy zastanawiając się nad tem, gdzie tkwi nasze ja, stwierdza, że trudno szukać go w świadomości, bowiem „świadomość nie jest pierwiastkową, ale wynikiem rozwoju“.

Nie zawsze ta świadomość wyodrębnia się tak dalece od zarodka, z którego się rozwinęła, od punktu, z którego wyszła, od woli. Pozostaje z nią jednak w rozmaitym stosunku.

Oto konstrukcje myślowe zdobywają nad wolą przewagę; nie poto wszakże, aby się wyeliminować, lecz poto, żeby ją sobie podporządkować. Bę-

gadnienie państwowości rosyjskiej. robi w niej jeszcze jeden, i to poważny wyłom. Dla liberałów rosyjskich, którzy zasady federalizmu nie uznają (dowiódł tego Pogodin w № 9 tygodnika „Nowoje Zwieno“), a przyjęli państwowość rosyjską, w jej obecnych granicach, za podłoże i teren naturalnego rozwoju, wszelki ruch tego rodzaju jest niepożądany.

Inny zgola może i powinien być stosunek polaków.

My, jako naród, walczący o przyszłość i wierzący w przyszłość, możemy witać budzące się uświadomienie ukraińców tylko z uznaniem i radością. Jedna przed nami droga.

Wi—ski.

Szermierze wstecznictwa.

Zadania każdego prawdziwego społecznika, pragnącego żywy brać udział w przemyślanii i objawach bieżącego życia, — określić można przez następujące wskazania:

Trzymać wciąż rękę na pulsie życia społecznego, znać prądy przebiegające jego organizm, zdawać sobie z nich sprawę, śledzić bacznie za rozwojem myśli społecznej, poznać podstawowe idee programów różnych w kraju stronnictw, by się nauczyć wysnuwania z nich odnośnych wniosków — i wyrobienia indywidualnego, krytycznego światopoglądu, opartego o zgrabną znajomość dziejów i psychiki ludzkiej.

Solidaryzując się z poglądami pewnymi, — należy wiedzieć, — gdzie mamy szukać sympatyków i sprzymierzeńców; chcąc zaś zwalczać kierunki, z którymi się nie zgadzamy, należy poznać taktykę przeciwnika.

Postępowcy np. powinni zdawać sobie dokładnie sprawę z własnych przekonań i dążeń. Przeszkodę dotychczasową w tym względzie — stanowił w piśmiennictwie naszym — brak odpowiednich dzieł, broszur, — a nawet artykułów.

dziemy wówczas mieli, w przeciwstawieniu do tych marzycieli biernych, których widzieliśmy wyżej, marzycieli czynnych.

Gradacja takich typów marzycielskich jest nieskończenie wielka. Podobnie jak Hamlet, albo Amiel byli tylko krańcowym punktem nieskończone bogatego łańcucha, tak samo tutaj znajdujemy szereg ogniw najrozmaitszych.

W szeregu staną utopiści przeróżnych rodzajów. (Przypominam, że istota i miara stosunku uczucia do rozumu nie są w tym schemacie uwzględnione). Fanatycy jakichś marzeń religijnych, czy innych. Ludzie żyjący w ekstazie, zdobywcy chrystusowego grobu. Don Kichoci... Don Kichot wierzy wszak święcie w konieczność czynu rycerskiego, szlachetnego i w powołanie swoje; wierzy tak zawzięcie i ślepo, że żadne, najboleśniejsze doświadczenia odwieść go od zamierzeń nie mogą, więc idzie i działa, prowadzi go fantastyczna, nierealna, wyzwolona myśl, która zwykłym wyładowaniom siły przewodzi i nadaje w oczach jego barwy i kształty nadzwyczajne. Don Kichot działa, ale to działanie jego nie jest kierowane przez pierwotny zasadniczy „popęd ży-

Niedawno zaledwie przełożono na język polski „Złudzenia postępu“ Sorela i również — zaledwie od lat paru ukazało się dzieło Filipowicza p. t. „Zagadnienia postępu“. Obie prace zasługują na przeczytanie i przemyślenie samodzielne. Zresztą i w książkach, nie tak specjalnie sprawie postępu poświęconych, znaleźć możemy dużo myśli oryginalnych i śmiałych w przyszłość perspektyw. W pracach: Kuratowskiego, Goreckiego, Kochanowskiego, Świętochowskiego, Kempnera, Langego, St. Brzozowskiego i innych. Lecz nie jest to jeszcze wystarczający materiał dla uświadomienia sobie i zorientowania się w skomplikowanych stosunkach dzisiejszego życia; i przyznać należy słusność słowom Chmielowskiego, który pisze: „Postępowcy nasi, szermując wyrazami: „postęp“ i „wiedza“, nie zadali sobie trudu wyluszczenia szczegółowo, — jakie cechy poglądów uważają za postępowe i jakie wyniki wiedzy chcą wśród społeczeństwa rozpowszechnić“. (Zarys literatury polskiej 1895 r., str. 57).

I tak jest prawie dotąd. Za mało pisze się w tej kwestji; nasz postęp jest za słabo zorganizowany, a lekceważąc postulaty obozów przeciwnych, popełnia błąd zapoznawania sił swych antagonistów, a zarazem nie dba o broń, którą zwalczać by ich należało.

Narodowa demokracja, realisci, cały zespół konserwatystów jest o wiele lepiej zorganizowany od naszego postępu. Wre tam praca we wszelkich kierunkach, szczególnie w piśmiennictwie. Dmowski, Balicki, Grabski, wydają dzieła z zakresu roztrząsań politycznych. Wasilewski pisze swe „Myśli o przebudowie“ w wielu założeniach słuszne i cenne. Dzieduszycki staje w ich szeregu, Józef Milewski porusza w „Zagadnieniach polityki narodowej“ — sprawy aktualne — oświetlając je po swojemu, zaś w pałacu biskupim w Krakowie — na ogólnym zebraniu Związku rodziny Zamojskich, d. 7 kwietnia 1913 r. — wygłasza mowę, wydaną następnie w broszurze p. t. „Elita społeczna“. Do tej elity społecznej zalicza p. Józef Milewski, tych wszystkich, komu osobiste warunki i stosunki dozwolą stanąć w jej szeregach. Wreszcie powstaje w Warszawie „biblioteczka konserwaty-“

ciowy“, tylko przez wyrozumowane, pochodne zatem, nierealne wyobrażenia — stąd staje się on karykaturą, gdyż właściwy stosunek został w nim odwrócony.

Tu należy przerwać wywody zapytaniem: Więc tylko takie działanie jest właściwe, gdzie człowiek, ulegając pierwszemu, zasadniczemu, a więc *egoistycznemu* popędowi używa rozumu, aby je łatwiej zaspokoić?

Takby zapewne było, gdybyśmy stali na gruncie biologicznych pojęć o życiu człowieka w społeczeństwie i prawo zwierzęcej walki o byt stosowali do socjologii. (por *Le Dantec* i jego „Egoisme“).

Wiemy jednak, że nie altruizm zamierzeń Don Kichota czyni go śmiesznym i wiemy, że nie trudno byłoby znaleźć czyny i ludzi, których altruizm staje się podstawą czci dla nich. Tylko *stosunek*, jaki zachodzi pomiędzy czynami ludzkiemi a danymi doświadczeniami, tu i tam będzie inny i ten właśnie stosunek czyni z Don Kichota pośmiewisko, — bynajmniej zaś nie jego altruizm.

(C. d. n.)

wydawana przez P. Kosiakiewicza p. t. „Idea konserwatywna, próba doktryny“.

Tej literaturze, której wylczenie nie jest jeszcze wyczerpujące, należałoby przeciwstawić dzieła przedmiotowe, uświadamiające, rzucające granit pod nogi dla utworzenia drogi wzwyż, ku teorjom podniosłej natury.

Spółczeństwu, wchłaniającemu teorje wsteczne, szerzone np. przez „bibliotekę konserwatywy“, należałoby przeciwstawić świadomą myśl krytyczną, należałoby próbę owej ujemnej doktryny zwalczać, — śledzić wciąż bacznie rozwój idei nawet niesympatycznych, reakcyjnych, — a oświetlać je z punktu przemyślań własnych, uzasadnionych i twórczych.

Hołdując zasadzie surowego obiektywizmu — przyznać należy, iż z obozu konserwatywnego dochodzą nas nieraz rozumowania bardzo słuszne, krytyka racjonalna, wskazania, prawdziwie zasługujące na poparcie. (Książka np. Wasilewskiego p. t. „Myśl przebudowy“).

Daje się też słyszeć z obozu konserwatywnego i gorzkie zarzuty, czynione oszczędzanej dotąd przez prasę i głos opinji, arystokracji naszej. Wypowiedziane przez p. Chołoniewskiego w „Świecie“ warszawskim w № 50, z 1913 r. i 3, 1914 r., obiegły one w wyjątkach niemal całą prasę naszą, budząc wszędzie uznanie dla śmiało, ostro wypowiedzianej prawdy tej „elicy“ społecznej, która bynajmniej elitą, w podniosłem tego słowa znaczeniu, nie była i nie jest...

P. Chołoniewski arystokracji polskiej zarzucił sobkowstwo, brak ofiarności na cele społeczne, brak patriotyzmu i niekulturalność.

Spotkała się już ona przed laty 40-stu z podobnemi zarzutami; przebrzmiały one jednak, nie wywołując wówczas echa. Dziś przeciw głos p. Chołoniewskiego wywarł silne wrażenie, wyszedł bowiem z obozu zachowawczego i trafił na tę „chwilę osobliwą“, w której budzić się zdaje do życia opinja publiczna. Stąd uznanie powszechne dla P. Chołoniewskiego; stąd reagowanie ze strony „postawionych w stan oskarżenia“ przeciwko niektórym — rzekomo zbyt stronnym — zarzutom autora artykułów.

Do sympatyczniejszych również objawów myśli konserwatywnej zaliczyć można słowa p. J. Milewskiego, wypowiedziane w wyżej wspomnianej mowie na zjeździe rodziny Zamojskich: iż do owej elity społecznej „każdemu jest wstęp otwarty... żadne dziś ciasne granice, żadne karjery zewnętrzne — nie zamykają jej szeregów“...

Zasadnicze jednakże ujęcie przedmiotu, ogólne poglądy, wypowiedziane przez autora „elity społecznej“, pomimo zabarwień liberalnych, zdradzają głęboko zachowawcze zasady, głoszone z niektórymi tylko zastrzeżeniami, uwzględniającemi prądy nowe, z trudnością wyrabiające sobie dopiero w odnośnych sferach prawo obywatelstwa w wieku XX-tym.

Zgoła bez porywów ku idealnym kierunkom, bez próby jakiegokolwiek liberalizmu, jest konserwatywna idea p. W. Kosiakiewicza, w zupełności zasługująca na miano: konserwatyzmu bez maski. Chcąc uzasadnić to twierdzenie — należy streścić głoszone przez autora poglądy. Swą „Ideę konserwatywną, jako próbę doktryny“, — opiera p. Kosiakiewicz na słuszności ustroju klasowego, konieczności i dobrodziejstwie utrzymania hierarchji i pożytku dla naro-

du arystokracji rodowej. „Tą drogą powinna pójść cała grupa ludzi myślących i piszących“...

Co wywołało rewolucję francuską? — pyta autor; i odpowiada: „Oto złoto parlamentaryzmu“. „Demokratyczny system wyborczy stał się olbrzymią instytucją kłamstwa przed ludem“. Stąd — według autora — krok jeden do reakcji arystokratyzmu. Powstaje renanizm, czyli pogarda tłumu, — nietscheanizm, czyli idea nadczłowieczeństwa, i dekadentyzm, czyli negacja tego, co zdrowe i normalne. Wszystko zagrożone! Gmach odwiecznego ustroju wali się w gruzy... Należy się ratować, a jedynym i koniecznym ratunkiem jest — zdaniem p. Kosiakiewicza — doktryna konserwatywna.

„Rodzina, kościół, własność, korporacje zawodowe, gmina autonomiczna“ — oto jej podwaliny. Demokracja uważa wolność za gwarancję praw jednostki. Konserwatysta nie uznaje jednostki; u niego wolność oznacza prawo do organizowania i popierania przedewszystkiem zasadniczych grup społecznych.

Z dobroduszną pewnością siebie — twierdzi autor, że właściwy postęp, np. w nauce, technice, zawdzięczamy ewolucji, a nie rewolucji i że dowodzą tego rzekomo — bardzo bezstronni historycy.

Możnaby tu zauważyć, że nawet bardzo konserwatywni historycy nie mogą zaprzeczyć faktu iż np. cofnięcie edyktu nantejskiego wyгнаło z Francji całe zastępy badaczy, uczonych, wynalazców, — że schronili się oni pod opiekuńcze skrzydła mocarstw protestanckich: Holandji, Niemiec i że skutkiem tego — w krajach tych na całej linii zaznacza się rozwój kultury. A że znaleźli w tych krajach przytułek, że ich stamtąd nie wyganiano, stało się to skutkiem wywalczonej przez wojny religijne, w XVII-tem stuleciu prowadzone, — wolności sumienia, a więc dzięki nie ewolucji, lecz rewolucyjnym walkom o wolność wyznania. Następny dopiero, spokojny rozwój kulturalny — należy do okresu ewolucji, udostępnionej przez krwawą walkę poprzednią. O tem nasi zachowawcy, z p. Kosiakiewiczem na czele, zdają się zapominać.

Co prawda, przyznaje autor broszury, iż średniowiecze nie wiele przysłużyło się nauce. A jednak był to okres dziejów, hołdujący właśnie zachowawczości! Wszystko się konserwowało, zasklepiało, trwało i uwieczniało — w bezwładzie...

Autor twierdzi w toku dalszym swych wywodów, że konserwatyzm jest koniecznym i niezbędnym warunkiem wszelkiego wyższego postępu... Między argumentami, któremi popiera swą tezę, jest i taki, że „w szkole ten uczeń najszybciej idzie naprzód, który się dawnych lekcji najlepiej nauczył“. Argument to nic nie mówiący, ile że sama analogja nie wytrzymuje krytyki. Konserwatysta, czytamy dalej, tem się różni od demokracji, że ten ostatni pragnie praw, uchwalonych dla całego kraju „przez przedstawicieli ludu“ i obowiązujących pod przymusem państwowym; konserwatysta zaś nie rozumie wolności człowieka jako instytucji społecznej czy politycznej, istniejącej prawnie.

Wolność, uważa autor, jako prawo wyboru. Prawo wyboru i tworzenia różnych instytucji potrzebnych, więc np. „z tej wolności — wypływa prawo tworzenia ordynacji, które dziś w najlepiej rządzonych krajach, uważane są jako niezmiernie pożyteczne dla sfer ziemiańskich“... Podobna się również p. K. prawo niemieckie — faworyzujące tworzenie ordynacji chłopskich, co się przyczynia do wyodrębniania jednostek zamoż-

nych w stanie włościańskim i tworzenia arystokracji chłopskiej.

Wolność wyznania, praktykowana w Stanach Zjednoczonych, nie podoba się konserwatyzmowi. Jest on naturalnym rzecznikiem nierozzerwalności państwa z kościołem, któremu powinna być przywrócona dawna potęga, gwarantująca jedynie spokój i ład w społeczeństwie i państwie.

Argumenty historyczne, które przytacza autor, w celu stwierdzenia słuszności swej tezy, są dziwnie zestawiane... Zbawczem, według ich brzmienia, było np. oddawanie władzy w czasie interregnum w Polsce w ręce prymasa, bo wszak Polska nie uległa rozbiorowi — w czasie trwającego interregnum, przeciwnie (?)...

Utrzymanie „cechów“ uważa autor za bardzo pożądane. To, że cechy przyczyniały się do tyranizowania jednostek, nie przemawia na ich niekorzyść. Konserwatyzm bowiem nie uznaje wolności jednostki.

Idealem zachowawczej doktryny jest kościół. Propaguje on bowiem, zdaniem autora, „wolność wielką i szczytną, w całej piękności i głębokości tylko konserwatywnej duszy znaną: wolność posłuszeństwa“.

W rodzinie—ojciec musi być naczelnikiem, matka mieć głos doradczy, dzieci zaś poddaniem ich władzy. W gminie prawo głosu i rządu muszą mieć tylko naczelnicy rodzin osiadłych.

Gmina, parafia, cech: oto instytucje zasadnicze. Powinny one wybierać jako ciała osobne—przedstawicieli swoich do rad okręgowych i prowincjonalnych, te zaś ostatnie rady do sejmów. Niema wyborów ani powszechnych, ani bezpośrednich, które są uznanem złem demokratycznym.

Tak na drodze konserwatyizmu powstanie ustrój narodowy i państwowy wykończony.

Autor zaznacza, że w rodzinach polskich, „żony rządzą mężami, a dzieci rodzicami“. Jeśli tak bywa, to może dlatego, że wśród inteligencji naszej żony bywają często bardziej wykształcone i uspołecznione od mężów, którzy poza pracą biurową lub zawodową niczem się nie interesują. W sposobie wychowywania dzieci istnieją warunki, które je przedwcześnie usamodzielniają. W rezultacie mamy fakt unicestwienia hierarchii p. Kosiakiewicza, która bez sztucznych podpórek, policyjnych nakazów, w wielu wypadkach okazuje bezsilność.

W wieku XVII i XVIII, gdy konserwatyzm w takim pozostawał u nas poszanowaniu, ojcowie rodzin—szczególniej ze sfer ziemiańskich—odznaczali się obskurantyzmem i właśnie przy owych—według p. K. zasadniczych cechach rodziny, do której ideałów zgłasza on chęć powrotu—upadła Polska... Lecz autor nie zajmuje się analizą zjawisk, nie wyprowadza wniosków, tylko głosi teorie. Wywody swe ujmuje w wyraźne określniki. Konserwatywna idea jest: *tradycyjną, pozytywną, doświadczalną, postępową, autonomiczną, wolnościową i liberalną*...

Uposażony w tyle różnorodnych przymiotów, dlaczego jednakże konserwatyzm pozostaje w takim poniżeniu?—zapytuje autor. „Czemu do miana konserwatysty przywiązuje się tyle niesławy?.. Ba, dlaczego! Oto dlatego przedewszystkim, że historję spisywali nie konserwatyści“.

Autor żywi nadzieję, iż w przyszłości pracę tę podejmą historycy konserwatywni, którzy „idealistycznemu i materialistycznemu pojmowaniu dziejów—przeciwstawiają pozytywistyczne ich pojmowanie. W tem miejscu autor się zastrzega, by mu nie za-

rzucano—broń Boże! identyfikowania wyrażenia „pozytywizm“—z pozytywizmem Comte'a, lub z ruchem warszawskim z lat osiemdziesiątych. *Pozytywizm* autora—oznacza *realizm*.

Drugą przyczynę pogardy dla konserwatyizmu widzi autor w tem, iż mu zarzucają bratanie się z reakcją państwową.

P. Kosiakiewicz odróżnia konserwatyzm od reakcji. „Pierwszy ma na względzie ideały, druga—interes. Pierwszemu chodzi o radości w przyszłości, — drugiej o rozkosze konsumpcji“...

Zresztą dodaje ze smutną rezygnacją, iż „są momenty w historii, w których konserwatyści zmuszeni są stawać w jednym obozie z reakcjonistami“... „broń oni muszą życia przed rozszalałym cmentarzem, ocalać społeczeństwo przed filozofją, ambicją i bohaterkością grabarzy. Obrońcy—nieraz szczytni, muszą znosić oskarżenia najstraszliwsze: że *zła bronią*. Spoznaje się ich od czasu do czasu — w tak fatalnym, w tak kompromitującym towarzystwie! nie rozumie się ich. Więc głupi ich szkalują, a naiwni ich unikają“.

Kazimiera Ostachiewiczowa.

(Dok. nast.)

Z wędrówek po Londynie.

I.

Skautki.

Przed dwoma laty czytałem jedyną polską powieść o Londynie. Napisał ją mistrz powieści polskiej, Wł. Reymont. Z przyrodzoną mu zdolnością literata, z plastyką niezwykłą dał polskim czytelnikom tak okropny obraz Londynu, że neurasteników w Polsce (a iluż ich jest) raczej djabli wezmą, niż po zaznajomieniu się z „Wampirem“ mieliby przyjechać na wyspę John Bull'a.

Raczej skonać w „ożywczym“ Paryżu, niż jechać do tego mglistego, dżdżystego, wstrętnego Londynu, gdzie czyha spirytyzm Bławackiej i szatańska moc Daisy, z jej samobiczowaniem i szatańską mszą, z jej panterą i najgorszą, w pięknej szczególnie kobiecie, zdolnością rozdawania osobowości.

Łart na stronę. Wyrządził nam Reymont zgoła zbyteczną krzywdę. Wszak u nas przywykło się patrzeć na powieść, nie jak na dzieło sztuki, ale jak na publicystyczny, informujący artykuł. Coś w rodzaju towarzyskiego Baedekera po nieznanym nam społeczeństwach.

W dżdżysty, smutny dzień londyński, wybrałem się na wędrówkę po tem „mieście miast“. Postanowiłem sobie, właśnie w taki dzień przyjrzeć się ukrytym sprężynom angielskiej dzielności, zdrowia i niepożytej energii. Jesienna rozkiszła aura sprowadza na nas od 12-o latków poczawszy, na 40 i 50 latkach skończywszy, uczucia nudy, przesytu, melancholji, pesymizmu.

Celują w tych uczuciach nadobne polki i najnadobniejsze wilnianki, od suteryn do poddaszy. Umyślnie pomijam wszelkie socjalne różnice, warunki i stanowiska, które niejednokrotnie przeszkadzają długo nudzić się szwacze lub stróżownie, a nawet „pannie ze sklepu“ — w dżdżysty, jesienny dzień,

Jestem w robotniczej dzielnicy, daleko od West'u Londynu, w Greenwich. Snuję się wzdłuż szarych domów jakiejś bocznej ulicy. Deszcz mży obrzydliwie. Przechodnie obciśnięci w *waterproofy* spieszą do zajęć swoich z równą energią, jak w cudny słoneczny dzień. Nikt nie zwraca uwagi na jakiegos *foreigner'a*, któremu spodobało się, jak mnie, kroczyć powoli, przypatrując się wszystkiemu i wszystkim. Nawet zwykłej w Wilnie rozrywce: oglądania pięknych nówek, nie można się tu oddać, bo *miss* w deszczowy czas też opinają się szczerlnie w *waterproofy* i nie mają chwili do stracenia w codziennej pracy.

Przeklęte miasto! Miał Reymont rację. Wtem wybiegają z pobliskiej kamienicy dwie dziewczynki, od razu rzucające się w oczy nasadzonym kapturem na głowę i obszerną granatową peleryną, z pod której widać krakowskie buciki. Spieszą prędko.

Chyba zabawię się w niewinnego lowelasa. Zobaczę, dokąd też owe peleryny dążą. Na rogu boczny spotykają moje peleryny drugą parę. Dalej nieco trzecią. Jest ich już sześć. Zaintrygowało mnie przede wszystkim, że dziewczynki idą w nogę, po żołniersku. Kroczę za nimi. Znowu przyłącza się para peleryn. Kiej djabeł, myślę sobie. Nie przeszło pięciu minut, jak wcale foremny patrol, z 15 dziewczynek złożony, żołnierskim marszem kroczył przedemną.

Skautki, anichybi skautki. No, moje panienki, zobaczymy, czy to prawda, że wyście w Anglii przeszły już w umiejętnościach harcerek naszych chłopaków z Galicji!

Sprawdziłem, czy mam kartę dziennikarską przy sobie i rekomendację p. Raclief'a, komisarza od skautów cudzoziemców, zwłaszcza, że patrol przystanął i zdecydował zaczekać na mnie.

Na ulicy prawie pusto, jakaś zakapturzona uliczka, tuż nad kanałami. „Ładna historia“, myślę sobie, „jeszcze te młodociane córki Albionu wezmą mnie w jasyr i oddadzą w ręce najbliższego policjanta. Hm, ładna perspektywa!“ Ale nic, idę śmiało naprzód, przystając tuż przy prowadzącej patrol i najuprzejmiej zapytuję o adres ich kwatery.

— Zaprowadźmy pana, tylko proszę spieszyć się, bo godzina ćwiczeń blisko — śmiało palnęła *patrol leader*, salutując moją zmokłą figurę. Z rozwianych skrzydeł peleryny wyłonił się granatowy kostjum, opatrzony przynajmniej tuzinem kieszeni i błękitnym fularem pod szyją. Rzemienny pas, u pasa nóż-szczyryk. Białe akselbanty od gwizdawki.

Udaliśmy się, że tak rzekę, w 16-oro, w dalszą drogę.

— Dlaczego *girl guides* chodzą zawsze parami a nie pojedynczo?—mówię po chwili.

— Dzielnica jest oddalona od centrum miasta, może nas spotkać przykrość od ciemnych, głupich ludzi. Zresztą objaśni pana lepiej *miss Aleksander*, nasz instruktor.

Cały patrol, jakby mnie konwojował, kroczy w milczeniu.

Sytuacja, powiedziałbym, wcale głupia, gdyby nie była tak ciekawa. Przypominam sobie, że chłopakom-skautom nie wolno *girl-guide* odpowiadać przy spotkaniu na ulicy. No ale jam przecie nie *boy-scout*, a dziennikarz, który chce i musi rozmawiać o tem, co go interesuje.

Deszcz mży, jakby się uwziął. Błoto. Jestem zły na siebie i na te małe angielski. I chce się to takiej jednej z drugą na deszcz i pluchę z domu wychodzić. Jak to one idą—jakby na wojnę! Raz dwa!

raz dwa! Do djaska, moje małe, przecie to nie jest wcale, a wcale zabawne. Chyba zwięję w pierwszą ulicę, przez którą tramwaj przechodzi. Ostatecznie w *Vienna Café* na *New Oxford Street* weselej i cieplej przy kawie i gazetach. Rodaka się jeszcze lub rodaczkę tam spotka. Plotek trochę z kolonji i z kraju przybędzie. „Ukryte sprężyny angielskiej dzielności“ swoją drogą, a moje przemoczone kamazse i palto swoja.

— *Girls, stop!* zabrzmiało mi nad uchem.

Patrzę. Naprzeciwko nas idą 2 peleryny i 2 znajome polki przy nich.

Peleryny znowu rozwiewają się. Skautki salutują. Ja, zażenowany wściekle, rozpytuje znajome.

— Co panie tu robią?

— A pan?

— Mnie owe białogłowy prowadzą do swej kwatery do jakiejś *Miss Aleksandry*.

— A my właśnie przez nią zaproszone jesteśmy na dziś do zwiedzania Oddziału Skautek w Greenwich i Woolwich. Ale też pogoda!

Moja eskorta znikła, jak zaczarowana. Oglądam się, tylko dwie peleryny, świeżo przybyłe, cierpliwie mokną, czekając aż się polskie towarzystwo nagada. Stoimy tuż przy hali parterowej. Z wnętrza słychać wrzawę licznych głosów.

— Jesteśmy u celu—raportuje jedna z peleryn.

Pukanie we wrota hali. Natychmiast otwierają się, ukazując obszerną salę, z estradą. Uroczą, tęga dziewczoja w uniformie skautki przyjmuje nas. Jest to pomocnica *Miss Aleksandry*.

Po chwili podbiega do nas „sam pułkownik“, *Miss Aleksandra*. Zdziwiona nieco moją obecnością, przegląda rekomendację, poczem najuprzejmiej zapytuje, czy jestem polakiem.

Naturalnie miała już raport tamtej leaderki patrolu, który mnie tu odstawił. Podchodzi pastor, mądry człek, od pierwszego wejrzenia. Przedstawia mi się, jako założyciel oddziału *Sea-Scouts* (Skautów-Morza) w Woolwich.

Rodaczki już na estradzie. Pod ścianami hali setka bez mała skautek. Twarze pospolite, widać córki wyrobników i robotnic. Uniformy zgrabne.

Pytam pastora: Kto szyje uniformy?

— A to jest pierwsze zadanie skautki, uszyć sobie mundur—odpowiada pastor.—Znajdzie tu pan nadzwyczaj ciekawy materiał. Mary, chodź tu na chwilę. Z szeregów wysuwa się 16-o latek może, z rękawem naszymi przeróżnymi znakami.

— Widzi pan, ciągnie pastor. Ta dziewczynka utrzymuje 6-ro młodszego rodzeństwa, obszywa je, przyrządza pokarm, kąpie. Dziś w dzielnicy naszej *half-holiday*, więc matka w domu i Mary może być tu, na ćwiczeniach. Córka robotnicy i nocnego stróża. Zdała już cztery egzaminy, po 2 latach skautyzmu. Dziękuję ci, Mary.

Charakterystyczny ukłon-salutowanie. Zwrot w tył i Mary maszeruje na swoje miejsce.

Powietrze przebił ostry i krótki tryl gwizdawki. Momentalnie szeregi wyrównały się.

— *W prawo, patrz!*

Na estradzie ukazała się protektorka gniazda, redaktorka *The Daily Mirror*. Stół, przy którym zasiadła, pokryty sztandarem. Skautka chorąży krokiem równym wstępuje na estradę i zajmuje miejsce tuż przy protektorke. *Miss Aleksandra*, „pułkownik w spódnicy“, staje po prawej stronie stołu.

Pastor szepce mi do ucha: „Dziś przyjmują

dwie nowe kandydatki, które złożą ślubowania skautowe“.

— *Spocznij! (Fall in!)*

Zwarte szeregi rozłamał głos komendy.

— Skautki, przyjmujemy dziś dwie nowe siostry. Złożyły już one wstępny egzamin z prawa skautowego. Teraz złożą ślubowanie nasze.

— *Girls, salute!*

Jak do świętej przysięgi złożono w szeregach skautek piąty i pierwszy palec prawej dłoni, uwidoczniając to w zgięciu i podniesieniu prawicy. Pastor salutuje po wojskowemu, ja, nie wiele myśląc, też, rodaczki moje również. Nawet stara protektorka podniosła się z fotelu.

W ciszy uroczystej padają słowa ślubowania skautowego: „Przysięgam na mój honor, na moją cześć, iż będę szanować Boga, będę lojalną wobec króla, będę spełniać choć jeden dobry uczynek na dzień, będę posłuszną prawom skautowym!“

Słychać głos Miss Aleksandry: *Ufam, iż spełnisz zaprzysiężone na honor obowiązki.*

Patrzę na szeregi tych dziewczynek z ludu. Twarze skupione, jakie u nas po kościołach z trudem zobaczysz. Usta wszystkich poruszają się, jak w modlitwie. Przy każdym nowym ślubowaniu, skautki i skauci powtarzają po cichu swe dawne przysięgi.

— *Pasuj ją! (Invest!)*

Na ślubującą kandydatkę nakładają fular, kapelusz, pas i sznurki-akselbanty.

Miss Aleksandra przypina jej znak skautowy: trójlistną koniczynę; przypomina, że uniform ma nosić tylko w dniach ćwiczeń, wtajemnicza w hasła i znaki skautowe.

— *Do swego patrolu, marsz!*

Ceremonia przyjęcia skończona.

Przypomniały mi się dziecinne wzruszenia podczas pierwszej spowiedzi.

Nigdy jeszcze polskiemu dziecku nie wspominali o jego honorze, o jego czci. Honor dziecka, któż o to dba u nas, wśród warstw ludowych, chłopskich i robotniczych?

Honor dziecka — oto wielka tajemnica angielskiego charakteru.

M. Dąbrowski.

(Dok. nast.)

Urywek.

Orkan mego serca klnę

orkan mego ducha gniotę —

Co godzina — duchem mrę!

Nie mogę wyzwolić skrzydeł —

Cierpię krwawe wieki mąk! —

Płynąć ja chcę — bom jest wolna!

Nie przykuwa mię czczy prąd.

Wolą dojrzę sniony ład! —

Pragnę lotu — bom jest wolna —

W słońcu ja wyzwolę skrzydła

i w słońce — wyciągnę ręce —

Miłość — sidła — — !

Ja się miłości nie boję,

bo miłość — ma w sobie — natchnienie

sześcioskrzydłego anioła

o tęczookiej żrenicy —

ja mam w piersi serce lwicy,

ja się miłości — nie boję! —

Lecz miast tęczowego skrzydła

Z duszek wylażą — straszidła

Spleśniałem mrugają okiem...

Gonią cienie zgastym wzrokiem.

Mamidła!

Orkan mego serca klnę,

orkan mego ducha — gniotę.

Co godzina — duchem mrę — :

Nie mogę wyzwolić skrzydeł...

Skrzydłem — spadające gwiazdy

miotę

Z dusz niskich — petzną straszidła..

Nora Walicka.

Na marginesie.

Pewien wilnianin, odwiedziwszy Poznań, wrócił stamtąd ogromnie zgorzony.

— Do cna zeszwabieli — powiada. — O niczem nie myślą, tylko żeby tego fenyga oszczędzić. Ani śladu fantazji, rozmachu, ani krzty słowiańskiego marzycielstwa, słowiańskiej szerokiej natury!... Gościnność?... Gdzie im tam do gościnności!...

— Ależ, panie, byłem i ja w Poznaniu!...

— Co? Może pan będzie przeczył? Więc proszę tylko posłuchać, co mnie tam spotkało.

— Słucham.

— Pewien adwokat tak się ucieszył gościem „z za Niemna“, że koniecznie chciał ze mną wieczór spędzić. Więc zaprasza do „Hungarji“. Punkt dziesiąta czekam pana — powiada. Ano, przychodzę. Jest. Sprowadził jeszcze kilku znajomych, prezentuje. Siadamy do kolacji. Wspaniała kolacja. Poznańczyk o wszystkim pomyślał: potrawy — palce lizać, a wina... ambrozja! — słowem, padam panu, uczta, co się zowie. Wreszcie najedliśmy się, nagadali — godzina druga w nocy. Rachunek!... Podają. Adwokat skrupulatnie sprawdza; coś tam znajduje nie w porządku. Odsyła. Poprawili. Patrzę... co to? Bierze od kelnera ołówek, rachuje, ilu nas jest... Było siedem osób. Dzieli sumę na siedem części i po chwili najspokojniej w świecie oświadcza, że każdy z nas ma zapłacić po 9 marek 45 fenygów. — No, słyszane to rzeczy? Zaprosił, ugościł, a potem kazał zapłacić!

Wilnianin nie miał słów oburzenia. Zamilkł więc i dopiero po pewnej chwili splunął.

— Tfy! szwabskie zwyczaje.

— Sądziś pan istotnie, że to wpływy niemieckie?

— Ależ naturalnie, bo skądżeby...

— Ciekawe jednak, że one trafiły aż do Wilna, gdzie przecież Niemców jest, jak na lekarstwo.

— No w Wilnie chyba nikt tak pana nie urządzi.

* * *

Urządzi... nie urządzi...

Ale ot, taki choćby fakt:

Znam jegomościa zasobnego, inteligientnego, a — co ważniejsze — straszego radykała.

„Kurjer Litewski“... — „szmata oportunistyczna“. Inaczej nie nazywa naszego największego dziennika.

„Przegląd Wileński“?...

— No, już wy tam także trochę za bardzo endekujecie.

— „Kurjer Krajowy“?...

I ten jeszcze nie dość czerwony. Nie zachowuje konsekwentnie klasowego stanowiska.

— U nas pismo powinno być wulkanem. W gorącej lawie trzeba maczać pióra... Inaczej, panie, zmarniejemy, zgłupiejemy. Litwa, Białoruś, Rosja — wszystko pójdzie naprzód, a my będziemy stali, stali, stali, jak te ruiny na górze Zamkowej.

— Więc cóż pan prenumeruje? — pytam — Może „Kuznię“?...

— Co ja prenumeruję? — powtórzył po chwili. — Ano, „Gazetę Codzienną“.

— ???...

— Taniutka taka...

* * *

Okazuje się jednak, że ten zamożny radykał interesuje się również innymi wydawnictwami.

— „Kurjera“ — powiada — trzyma sąsiad, więc sobie pożyczam; „Przegląd“ widuję u mecenasa w sobotę, a jak czasem zajrzę do cukierni, to przejrzę i warszawskie gazety...

* * *

Minęły czasy utracuszostwa polskiego. Tu i owdzie tylko jakiś panek trwoni resztki dziedzictwa, ale panów tych z każdym rokiem ubywa. Szeroką naturą odznaczają się przeważnie ci, co nic już do stracenia nie mają, a fantazję ich wyładowuje — nadrabianie miną.

Ogół stał się wyrachowany, oszczędny...

— Zeszwabiał — jakby powiedział mój przyjaciel.

Oburzenie jego byłoby — oczywiście — zgoła niesprawiedliwe, gdyby nie to, że owo „zeszwabienie“ nie tyle jest zeszwabieniem, ile karykaturą czegoś... niewiadomo czego.

Oto np. ktoś nie chodzi do teatru, nie abonuje pism, nie kupuje książek, nie należy do stowarzyszeń etc. etc., bo — szkoda grosza.

Pewien filozof ze Skopówki tak mi to zjawisko objaśnił.

— Widzisz pan — powiada — czasy są demokratyczne; szlachta — nic nie znaczy, kłapa. Na szlachcie budować przyszłość, to tak, jakby kościół przewrócić do góry fundamentami i kazać mu stać na wieży. My tak samo: mamy tutaj wieżę, a fundamenty gdzie? W imaginacji.

— Jest przecież i ludu polskiego trochę, i drobnej szlachty, i włościactwo miejscowe samo się garnie.

— Et! — machnął ręką. — To wszystko nie to. Tego nie starczy na podtrzymanie naszej gotyckiej wieżycy. Tzyma się ona, wiesz pan na czym? — Ot,

na fakcie posiadania, na własności, na tem, że reprezentujemy znaczną część kapitału krajowego. Stąd wynika, że rola, którą gdzieindziej odgrywa lud, tutaj spełnia — rubel. Dlatego musimy nietylko rubla cenić podobnie, jak gdzieindziej ceni się lud, ale uważać za najlepszego patriotę tego, co woli grosz schować, niż go wydać nawet na...

— Naukę języka polskiego — wtrąciłem.

— A co pan myślisz? — odburknął filozof. — Te wszystkie „cele“, to przeważnie farmuszki. Rzecz najważniejsza — utrzymać stan posiadania, ot co.

— Czy sądzicie, że tylko na Skopówce są tacy filozofowie?

* * *

Możnaby się założyć, że pełno ich w każdym środowisku. Gdyby nie to, takie np. wileńskie Towarzystwo Rolnicze nie byłoby instytucją tak obcą ludowym fundamentom społeczeństwa, instytucją, oddzieloną od nich wysokimi składkami członkowskimi i dworskim na świat poglądem.

— Złe się nazywa nasze „Tow. Rolnicze“ — mówił mi pewien malkontent. — To jest właściwie „Tow. Ziemiańskie“. Tam niema rolników, tam są tylko „ziemianie“. Jeśli nawet robi coś ono dla chłopów, dla rolnika, to w każdym razie — bez tego rolnika.

A tymczasem życie prosi się już o towarzystwo rolnicze demokratyczne, gdzieby składka roczna wynosiła 1 rb., wpisowe 50 kop.

No i cóż! Doczekaliśmy się wreszcie takiego towarzystwa. Założyli je... „istunno ruscy“ właściciele — nie tyle ziemi, ile posad i posadek w urzędach ministerjum rolnictwa. Gdy upolują gromadę jednorubrowych członków (a tak tanich uczestników nietrudno bodaj z własnej kieszeni opłacić), rozpoczną polowanie na subsydja; będzie to więc w rezultacie towarzystwo — myśliwskie.

— Tak tak, — ciągnął dalej malkontent. — Prócz polowania na członków i subsydja, nowe towarzystwo uprawiać będzie również meteorologję — będzie, mianowicie, badało, skąd wiatr wieje. Jest przecież specjalna meteorologja... polityczna, wiodąca do awansów za robienie „miejstnoy samodiejatelnosti“ czyli samodzielności na — komendę.

Skoszlawiony demokratyzm na usługach czapki z gwiazdką.

A nasze stare, dostojne Towarzystwo Rolnicze, usłyszawszy o dziwnym konkurencie, przeciera oczy i patrzy, nie bardzo rozumiejąc, co się właściwie stało.

— Mój Boże! Tylu prezesów, podprezesów, nadprezesów... Jednogłośnie uchwały, uroczyste ogólne zebrania, na które spadać raczy sam regimentarz, stale przebywający na wyżynach jeśli nie Rady Państwa — to conajmniej Pirenejów...

* * *

I takich niespodzianek będzie coraz więcej, jeśli ogół nasz nie zmiarkuje, że — życie nie czeka.

Najlepszy tego dowód mieliśmy niedawno w teatrze polskim, który tak gorąco zapragnął nas w rzezonym kierunku oświecić, że nie zawahał się wystawić ś. p. Bałuckiego na... pośmiewisko.

Dał „Sprawę kobiet“.

A w tej „sprawie kobiet“ autor bardzo śmiesznie przedstawił niewiastę, która — (wyobraźcie sobie, no co też tym babom do głowy przychodzi) — roi o panach, kończących uniwersytety.

Bałucki nie wyobrażał sobie, że ledwie minie lat dwadzieścia, a w komedji jego figurą najkomicz-

niejszą będzie — sam autor. Bo życie tak jest bezcelne, że nie waha się drwić nawet z komedjopisarzów.

Nietylko zresztą komedjopisarze, satyrycy narażeni są na tak niefortunne kolizje z rzeczywistością. Narażają się na nie wszyscy, co chcą życiu dyktować prawa wedle swego widzimisie.

— A niech licho porwie te nasze przywileje! — zawołał pewien rosjanin, właściciel dóbr ziemskich na Litwie.

— Co takiego? — spytałem zdumiony.

— Powiadam panu, — mówił, załamując ręce — ja już nie wiem, co robić. Powiesić się, czy co?

— Nie rozumiem, o co panu chodzi.

— Muszę sprzedać majątek, a nie mam komu. Sąsiad mój wziął po dwieście rubli za dziesięcinę piasków, a ja nie mogę dostać pięćdziesięciu rubli za doskonałą ziemię.

Uprzywilejowany biedak wsparł czoło na dłoń i począł tonąć w odmętach rozpacz.

— Więc pan jesteś przeciwny prerogatywom prawosławnych? — spytałem, przeczekawszy pierwsze chwile wzmożonej boleści.

Podniósł głowę i spojrzał na mnie zamglonym wzrokiem.

— Niby nas protegują, a w rzeczywistości...

Póki polakom wcale nie wolno było kupować ziemi, to i naszą kupowali. Podstawiało się ruskiego człowieka i po zmartwieniu. No i cena jakoś się trzymała. Teraz kupują tylko od swoich, a w rezultacie nasze majątki spadają w wartości na łeb, na szyję.

No proszę, czy jest na świecie lepszy ironista, lepszy kpiarz, niż samo niezbadane, niezgłębione życie?

Ono nietylko z komedjopisarzów drwić się ośmiela, Nie zna moresu nawet przed mężami stanu, najbardziej powołanymi z powołanych do robienia historii.

Behra.

Wilno — nad Sekwaną.

Coraz częściej prasa francuska zajmuje się stonkami polskimi. Po upadku drugiego cesarstwa, moda *polonica* zdawała się należeć do przeszłości; tymczasem znów do kursu powraca. Tak organ braci Leblond'ów, jak skromny „Bulletin polonais“, wydawany przez emigrację, stale przypomina francuzom o naszym istnieniu.

Czynne sympatje polskie spotykamy u ludzi bardzo wybitnych. Historyk i profesor Sorbony, Ernest Denis, stara się od lat kilku gorliwie o postawienie pomnika Mickiewicza w Paryżu; z racji wyłączenia Chełmszczyzny, w doskonałym odczycie zaznajomił on szerszą publiczność z losami tej ziemi, w świetle prawdy dziejowej.

Dr. Nicaise, lekarz, uderzony martyrologią dzieci poznańskich w sprawie wrzesińskiej, staje się ich rzecznikiem przed całym cywilizowanym światem. Barbarzyński system oświatowy prusaków piętnuje on w wybornie napisanej książce: „Les allemands et les Polonais“*), do której materiały zbierał przez

czas dłuższy w Poznańskim i Rapperswilu. Wartość tego, rzuconego w twarz kulturze pruskiej, dzieła — podnosi jeszcze wspaniała przedmowa historyka Welchnigera, senatora i członka Instytutu Francuskiego. Na rynku księgarskim, co roku pojawiają się przekłady nowszej belatrystyki polskiej, która oprócz rodaka Gasztowta, znalazła doskonałego tłumacza w osobie p. Pawła Cazin'a, wyjątkowo dobrego znawcy naszego języka.

Obecnie znów jeden z najpoważniejszych miesięczników, „Revue du mois“, zamieszcza w dniu 10 lutego obszerny artykuł Ludwika Leger, członka Instytutu francuskiego, o Wilnie. Znakomity filolog, następca Mickiewicza i Chodźki na katedrze literatur słowiańskich w Kolegium Francuskim, pod tytułem: „3 dni w Wilnie“ opowiada swe wrażenia z pobytu nad Wilją. Tem więcej mają one dla nas interesu, że uczony autor jest postacią bardzo znaną i popularną wśród polskiej kolonii uniwersyteckiej w Paryżu. Nietylko sala jego wykładów przepelniona bywa młodzieżą polską, ale i przyjęcia poniedziałkowe w domu profesora w Passy, ściągają liczne grono potrzebujących dobrej i światłej rady, zachęty, zawsze łaskawie udzielanych wskazówek, a często bardzo dyskretnej pomocy materialnej.

Szczery przyjaciel Słowiańszczyzny, po raz już drugi zwiedzał prof. Leger Wilno, jadąc w maju roku zeszłego, jako delegat francuski na kongres międzynarodowy akademji w Petersburgu.

Z powodu tej oficjalnej roli, nie wyjawia się w swym artykule z całą zwykłą swobodą i niezrównanym humorem. W pierwszej swej bytności przed czterdziestu laty ze stolicy Giedymina nie wyniósł dodatniego wrażenia; pozostało mu wspomnienie małego miasta, oddychającego jeszcze grozą rządów Murawjewa. W tem korzystniejszej szacie przedstawiło mu się Wilno teraz z trzykrotnie powiększoną ludnością. Już na dworcu jednak, został uderzony pokostem urzędowym dorożek jednostajnego typu od Petersburga do Kazania, z charakterystycznie wypchanym woźnicą na koźle. Polskiego języka ślady ledwo na nielicznych szyldach kupieckich, gdzie często zakradają się błędy, świadczące, iż go albo wcale, albo źle ucząją.

System zaznaczania bezwzględnie zwycięskiej władzy w zabranym kraju stawia samemu sobie pomniki w sąsiedztwie żywych jeszcze dokumentów starej kultury polskiej.

Pamiętek polskich trzeba szukać w cieniu pięknych wileńskich kościołów. Katedra ze wspaniałą kaplicą św. Kazimierza i kazalnica Skargi, św. Jan, stylowy zewnątrz gotyk św. Anny i włoskie arcydzieło Piotra i Pawła najdłużej zatrzymują wędrowca. W kaplicy Ostrobramskiej przypomina mu się „Pan Tadeusz“ i uzdrowienie Mickiewicza. Idąc dalej śladami wieszczą, staje przed muzeum dawnego klasztoru Bazylianów, przebiega uliczki: Literacką i Zamkową. Dość pobieżnie oglądał prof. Leger cerkwie prawosławne i dlatego notuje ich tylko siedem, gdy kościołów katolickich — 24.

Stare uliczki żydowskie nie uchodzą też uwagi przygodnego badacza. Spotyka na szyldach sklepików żydowskich nazwisko „Kliatchki“, ale — nie może znaleźć tablicy pamiątkowej na domu, w którym przyszedł na świat autor „Wieczorów Florenckich“.

Rzeźbiarz Antokolski był szczęśliwszy. Widzi w tem jeden dowód więcej rosyjskości żydostwa wileńskiego: „Ceux là sont plux Russes que les Moscovites,

*) Paris, 1911, Bibliotheque des „Marches de l'Est“.

eux mêmes, mais ils auront beau faire, ils n'arriveront jamais à se faire prendre pour des Russes authentiques — powiada p. Leger.

Jeżeli miejsca spoczynku zmarłych świadczą najlepiej o narodowości mieszkańców, to przy zwiedzaniu poetycznych cmentarzy wileńskich cudzoziemiec ma wrażenie, iż znajduje się w mieście zupełnie polskiem. Nie sięga tu już sfera walk narodowościowych, nie dociera narzucony werniks. Dalej uderza wędrowca, że sale biblioteki publicznej w Wilnie zdobią biusty rosjan, nic wspólnego nie mających z kulturą krajową, a tymczasem Mickiewicz świeci tu nieobecnością. Starannie wystawiono inkunabla rosyjskie — dla polskich niema miejsca w gablotach! Wszystko to nasuwa na myśl prof. Leger'owi trafne francuskie przysłowie: „*Qui veut trop prouver ne prouve rien*“.

Pomimo stwierdzenia rozwoju miasta i przyjaźniejszych obecnie, niż niegdyś, warunków, uczony francuski ze smutkiem opuszczał Wilno. Zebrane tu wrażenia przeniosły myśl jego do Alzacji i Lotaryngji. Poza tem w uszach odezwało się echo dopiero co słyszanych entuzjastycznych mów, któremi działacze rosyjscy zapewniali w Pradze braci słowian o swej sympatji dla nich, a zwłaszcza dla czeskiego patriotyzmu, co umiał się wyzwolić z pod wpływów obcych...

Tis.

DOKOŁA SCENY.

„Ja jednak wołę Arkawinównę“.

Takie zdanie wpadło mi do ucha, gdym wychodził z teatru po debiucie p. Aldony Jasińskiej. Zdanie — dla publiczności naszej bardzo charakterystyczne, odzwierciedlające jej stosunek do sztuki aktorskiej.

Człowiek kulturalny różni się od niekulturalnego, między innymi, tem, że nie zadawalnia się wrażeniami subiektywnymi, dostarczanymi mu przez artystę, ale stara się dzieło sztuki traktować też obiektywnie — znać się na samej, że tak powiem, „robocie“ i umieć analizować jej poszczególne momenty. Zupełny brak u nas tego dążenia świadczy o niskiej naogół kulturze artystycznej. Widz, idący na popis debutantki i porównujący jej grę z grą wytrawnej, rutynowanej aktorki, nie orientuje się najwidoczniej, że wymaga rzeczy niemożliwej, że ignoruje czynniki w produkcji artystycznej pierwszorzędne: tresurę talentu, doświadczenie, praktyczną znajomość arkanów sugestji etc.

Można być pewnym, że publiczność, nie posiadająca wyrobienia, dzisiejszej Sary Bernhardt nie mogłaby słuchać. Wielka ta aktorka jest naogół już niemożliwa: stara, zwiędła — cech tych udziela od-twarzanym bohaterkom bez różnicy wieku. A jednak w grze jej są *szczegóły* zachwycające, które tylko smakosz, znawca umie podziwiać. Paryż ma takich smakoszy tylu, że wystarcza ich na zapelnianie teatru Sary.

Publiczność wyrobioną (a conajmniej posiadającą w tym kierunku ambicje) my mamy tylko w Krakowie. Pamiętam ostatni występ Modrzejewskiej w „Warszawiance“. Głos artystki był tak już przykry, skrzeczący, że nie mogło być mowy, by jej Marja sprawiała wrażenie młodej dziewczyny. Publiczność krakowska umiała jednak głosu tego nie słyszeć,

a natomiast podziwiać mimikę, ruchy i wczuwać się w subtelności miotających bohaterką uczuć.

Otóż właśnie umieć nie widzieć, lub nie słyszeć tego, o czem zgóry wiadomo, że dodatniego wrażenia sprawić nie może, a natomiast doszukiwać się piękna w szczegółach innych — to daje dopiero specjalna kultura.

Brak jej natomiast pozwala np. wymagać od debutantki — gry skończonej.

W tych warunkach debiut jest przedsięwzięciem chybionem, czyniącem zawód obu stronom jednaki.

Co się tyczy w szczególności p. Jasińskiej, to na razie dała ona dowód, że umie się rolą przejmować, ale wzruszenia swe zdolna jest przekazywać widowni tylko przypadkowo, nieświadomie i w momentach — rzadkich. „Warszawiankę“ swoją przeżyła na scenie, przeżyła szczerze, ale — dla siebie, nie dla oka ludzkiego. Aktorstwo zaś polega właśnie na tem, by umieć przeżywać coś nie tyle dla siebie, ile na efekt zewnętrzny. Przeżywać wewnątrz trzeba wcześniej, w samotności, wyplakać się w domu. Ludziom zaś przynieść uczucia już *przerobione, fachowo* na pokaz opracowane. P. Jasińska jeszcze sobie z tego sprawy nie zdaje.

Nie umie potem operować głosem — głosem rzadkiego dźwięku, który jednak najpiękniejszy jest w tonach średnich, gdy tymczasem artystka posługuje się niemal wyłącznie niskim rejestrem; nie panuje nad ruchami i figurą całą; nie potrafi wreszcie używać szminki, by podnieść wyrazistość swej bardzo podatnej maski.

To wszystko jednak nie przeszkadza, by widz rozumiejący, czego od debutantki wymagać można, orientujący się w trudnościach technicznych (jak choćby nie zgranie się z zespołem, nieznanomość akustyki danej sceny etc.) z występu p. Jasińskiej wyniósł wrażenie, że jest to organizacja, na scenę powołana. Głęboka wrażliwość na poezję zdaje się istotnie wyznaczać jej zadanie: pośredniczenia między poetą a zjadaczami chleba.

rc.

VIII doroczna wystawa Litewskiego Towarzystwa Sztuk Pięknych.

Jako człowiek obcy, nie znający Litwy, szedłem na wystawę uprzedzony. Rezultaty działalności artystycznej narodu, tak niezasobnego w kulturę intelektualną, zgóry uważałem za niezbyt ciekawe... Spotkała mię jednak miła niespodzianka. Znalazłem wiele rzeczy, prawdziwie godnych uwagi.

Przedewszystkiem zaznaczyć muszę, że ogólne wrażenie sprawia wystawa nader dodatnie. Co prawda, widać wszędzie nieśmiałe zaczątki, dobre chęci, wiele młodzieńczej werwy, wiele zapału idejowego i dużo — bardziej obywatelskiej, niż artystycznej — tendencji stworzenia za wszelką cenę sztuki *narodowej*.

Ale pomińmy to. Przyjrzyjmy się kolejno zgro-madzonemu materiałowi.

Z malarzy na pierwszy plan wysuwam p. Adama Warnasa-Rokkera, który zaprezentował się ca-

łym szeregiem szkiców i studjów odręcznych „rosotowych”. Widzimy tu dwadzieścia kilka krajobrazów, bardzo miękkich w kolorycie.

Na pana Warnasa kładę szczególny nacisk, albowiem z obecnej wystawy on jeden tylko wykazuje kulturę artystyczną, przezierającą z prac, malowanych z werwą, pojęciem tonu, koloru, przetrwaniem barw, stopieniem farby w powietrzu.

Ale owa kultura nie dziwi mnie. Ze sposobu przedstawiania pełnego poezji krajobrazu, z mglistego subtelności smutku: należy przypuszczać, iż p. Warnas był w bliskości ś. p. Stanisławskiego.

Zaznaczam wszelako że p. Warnas jest talentem samoistnym, wyzwoleńcem z tak zwanej Stanisławszczyzny. Jest sobą, sobą absolutnie.

Pan J. Vienožniškis dał kilka dekoracyjnie ujętych motywów pejzażowych, dobrych w kolorze ale niedociągniętych w rysunku, jak np. „Lato“, „Jesień I“, „Jesień II“, „Po deszczu“. Martwe natury są słabsze.

P. Kałpokas — to malarz o dobrych chęciach, przesiąknięty Paryżem i wszystkimi modnemi w dziedzinie sztuki idejami. Z rozmachem namalował parę motywów o dobrym kolorze dekoracyjnym, ale nie narysowanych i bez przeprowadzenia tonu, ani też przetopienia farby w dyskretniejsze plamy.

Ośmielam się twierdzić, że są to próbki dopiero, prace człowieka zdolnego, lecz zmagającego się z natłokiem wszelakich idei. Zaliczam to do eksperymentów.

Z prac p. Kałpokasa na wyróżnienie zasługuje „Zima“. Jest znacznie lepsza od innych obrazów, chociaż i tu pierwsze plany śniegu są słabo rysowane, co jest wogóle piętą Achillesową wszystkich młodych malarzy.

Obok wyliczonych celniejszych prac stawiam młodociany twór p. Szłapelisa: „Jesień“; moment nadzwyczajnie odczuty, oddany z wielką szczerością—stylizowany w sylwetkach dalszych planów z istic mistrzowską wprawą.

Z tej jednej pracy można rokować bardzo piękną przyszłość. Inne roboty tego artysty—słabsze.

Pozostali malarze mniej lub więcej zdolni, ale nie przekraczają ram konwensu, manjery i banalności.

Rzeźba, jak wszędzie, jest nielicznie, a nawet ubogo reprezentowana. Przedstawicielem tego działu sztuki jest p. Zikaras. Artysta to, niepozbawiony iskry bożej; ale cóż!—nim się czegoś nauczył, już zdążył się zmanierować. Z kilku prac jego, nadesłanych na wystawę, wymienię tylko „Przestrach“. Jakkolwiek jest przemodelowany i twardy, jednakże nie pozbawiony pewnych zalet artystycznych.

Grafika nielicznie, reprezentowana przez pp. Gałaiunię, Jamantosa, Jaroszewicza, Vienožinskisa i Żmujdzinowicza.

Są to wszystko prace bardzo skromne, nic nie mówiące o ich twórcach.

Sądząc z wystawy, artysta litewski ma ciężką jeszcze, zmuśną drogę przed sobą; brak mu dorobku przeszłości, z którego mógłby czerpać, jak ze skarbnicy. Nadto, jak kulę u nogi, dźwiga obowiązek pamiętania, że jest litwinem i że we wszystkim, co robi, musi być to podkreślane.

Ten ciężar społeczno-polityczny często artyście litewskiemu nie pozwala szeroko rozwinąć skrzydeł i szybować ku wyżynom czystej sztuki.

Dział zdobnictwa ludowego na wystawie objęła wyłącznie płeć piękna.

Jest on bodaj najwdzięczniejszy i najbogatszy. Sztuka stosowana litewska, czerpiąc motywy z prymitywów ludowych, daje bardzo pomysłne wyniki. Stosuje ona wszelkie ornamenty do tkanin codziennego użytku: do kilimów, ręczników, prześcierań, pasów i wielu innych. Są to rzeczy bardzo ładne, barwne, ciekawe w rysunku, a często ogromnie subtelne w barwie i pomysłowe w doborze kolorów. Inne przedmioty: wszystkie te meandry, krzyżyki, kwiaty, ząbki—niewiele się różnią od motywów białoruskich, jakkolwiek mają większą dyskreję barw.

Niemniej interesujący jest dział snycerstwa. Zaliczam to do galanterji artystycznej, a z powodu braku miejsca obszerniej wypowiedzieć się tu o nim nie mogę.

Wyniosłem z wystawy wrażenie, że otwarcie jej było uroczystością narodową.

Odczułem bijącą z niej potrzebę społecznego czynu.

Wyszedłem z przekonaniem, że i my, polacy, winniśmy na gruncie wileńskim niemniej pamiętać, że sztuka—to jeden z najświetniejszych dokumentów kultury narodu. Bezpłodność na polu twórczości artystycznej—to znamie kulturalnej dekadencji, przed którą bronić się trzeba i można, zwłaszcza gdy na miejscu posiadamy własną, bogatą skarbnicę pamiątek.

E. Pietkiewicz

PRASA POLSKA.

— Otrzymałmy z Warszawy prospekt nowego tygodnika, poświęconego polityce polskiej oraz sprawom kulturalnym i społeczno-ekonomicznym. Tytuł: „Strażnica“.

Redakcja zwraca uwagę, że „przeżywamy dzień przełomowy, któremu podobnego oddawna w dziejach naszych nie było“, a tymczasem—„do absurdu doszła namiętność abdykowania ze wszystkiego“.

„Nadciągająca burza europejska nie zdołała wstrząsnąć tą masą naszych „warstw oświeconych“, których jedna część ugrzęzła w bierności, a druga zacietrzewiła się—w abdykacji. Ten jest stan w obecnej godzinie przełomu.

Nie mówimy tego, by rzucić okrzyk: giniemy! Przeciwnie, patrzmy niebezpieczeństwu i grozie w twarz śmiało, bo jesteśmy żywi i idący w życie. W godzinie przełomu odpada strupieszalność, odkrusza się zło do ostateczności swojej dojrzałe; jeno przeżytki w narodzie giną.

Po przesileniu nowy przyływ energii uderza w podwoje życia.

Kłamstwem i głupstwem byłoby mówić, iż całość w podwalinach swych wiecznych próchnieje; jeszcze raz to powtórzmy, iż jeno przeżytki giną“.

Program „Strażnicy“ określa redakcja temi słowy:

„Będziemy szerzyli w społeczeństwie świadomość narodową. Nie ulamek, karykaturę sentymentalną, ocaloną wśród kompromisów, ale świadomość znającą pełnię praw i pełnię obowiązków—nieubłaganych. Tę uważamy za jedyny fundament czynów prawdziwych. W świetle tej świadomości rozsądzamy znaczenie wszelkich poszczególnych wystąpień.

Uznajemy za najważniejsze i najpilniejsze w Polsce zadanie ewolucyjną przebudowę w kierunku jak najbardziej demokratycznym, ludowym. Naciska o to życie. W czasach obecnych absolutnie niewystarczającym i śmiesznym jest połowiczne, protekcyjne hasło „popierania interesów ludowych“. Warstwy ludowe już się stały istotnym, niezaprzeczoną punktem ciężkości polskiego życia. Prawda rzeczy jest w tem. Demokratyzacja społeczna będzie tylko tej prawdy wyrazem. Najpilniejszą potrzebą żywego narodu jest przesunięcie sił rozstrzygających na miejsce im właściwe. Głos decydujący

w sprawie polskiej należy do warstw pracujących. Interes więc ludowy winien być pierwszorzędnym i królującym w narodzie“.

A dalej czytamy:

„W przeciwieństwie do ugodowej zasady kurczenia sił i obowiązków stawiamy przed narodem potrzebę rozprężenia się i rozrostu. Widzimy w tem jedyną drogę, bo siła wzmagą się przy użytkowaniu, a niszczyje w застоju. Każdy naród żywy ma obowiązki, wynikające z chwili społecznej i obowiązki w historycznej puściznie odziedziczone. Wyrzekając się ich, podcina w sobie twórczość. W tem świetle obowiązku rozumiemy stanowisko narodu naszego we wschodnich dzielnicach dawnej Rzeczpospolitej. Kraje te zjednoczyła z nami na długo ówczesna twórcza idea polska. Nie likwidacja rozstrzygnie dzisiejsze tak groźne i tak posępne konflikty.

Obowiązku zlikwidować nie można; powinnością narodu polskiego jest wydobyć tu z siebie nową ideę twórczą, zrodzoną w duchu czasu. A powinność to i względem tych, z którymiśmy byli złączeni przez wieki i przede wszystkim względem nas samych, naszej postaci dziejowej w przeszłości—i przyszłości.

Chcemy w narodzie ludzi na miarę pełnego obowiązku, ludzi twardych do bohaterstwa i konsekwentnych do ostatniego tchu. Nienawidzimy typu miękiego, pocziwego polaka, materiału podatnego do wszelkich bałamuctw kompromisowych, tworzywa, z którego się łatwo lepi żaloszny i ohydny „sclavus saltans“. Powinien się utworzyć typ nowy, nieubłagany jasny w myśleniu i nieubłagany twardy w czynie. Widzimy w narodzie materiał na ten typ. Pracować będziemy w kierunku najszybszego zaspokojenia tej potrzeby. Pragnący żyć staną z nami do pracy.

Przed upadkiem Państwa Polskiego strażnikami zwaly się szanice na kresach, skąd zawsze zagrażała nawała nieprzyjacielska. Później zaczęto zwać strażnicą zwykły lamus, gdzie chowano sprzęty do gaszenia ognia.

My nie będziemy „Strażnicą“ jak ten lamus“.

Nowemu towarzyszkowi pracy przesyłamy życzenia, by męskie słowa jego zapowiedzi—męski zbudziły czyn.

NA WIDNOKRĘGU.

W ostatnich tygodniach zaostrzył się jaskrawo stosunek między trójprzymierzem i trójporozumieniem. Na razie jest to walka papierowa, dziennikarska. Bierze w niej udział z jednej strony prasa niemiecka i austrijacka; z drugiej — rosyjska, wspomagana przez francuską. Wojowniczy ton artykułów tak jednego, jak drugiego obozu wskazuje przede wszystkim, że obydwaj są nie na żarty — w strachu.

Początek zrobiła, inspirowana przez urząd kanclerski, „Köln. Ztg.“ Dziennik ten zaalarmował Niemcy zbrojeniami Rosji i jej coraz wyraźniej wrogim nastrojem względem dwu zachodnich sąsiadów.

Wkrótce potem w „Berliner Tageblatt“ ukazał się artykuł jakiejś „wysoko postawionej osobistości“, która oskarżyła Rosję, że na pokojowe usposobienie Austrii i Niemiec odpowiada postawą zaczepną.

Dalej wyraża tajemniczy autor żal z powodu dźwignięcia się państw bałkańskich kosztem „dobrej sąsiadki“, Turcji. Zaznacza, iż Serbia, Czarnogórze i Rumunja dążąc będą do zaokrąglenia swych granic kosztem monarchji Habsburskiej, która nie bardzo może liczyć na wasń bułgarsko-serbską i bułgarsko-rumuńską. Wreszcie „wysoko postawiona osobistość“ daje do zrozumienia, że Rosja zmierza do wyemancypowania się z pod wpływu Niemiec, czemu te ostatnie zapobiedz powinny.

„Olbrzymia, wzmagająca się ludność Rosji, zmniejszanie się urodzin na zachodzie, ekonomiczne wzmocnienie się tego imperjum, budowa kolei i twierdz, niewyczerpany przyływ pieniędzy z Fran-

cji, postępujący niezaprzeczenie rozkład Austro - Węgier—wszystko to są poważne momenty“.

Tajemniczy autor unika jawnego wypowiedzenia się za wojnę. Ale radzi Niemcom zaniechać polityki ustępstw i uroszczeniom Rosji przeciwstawić stanowczą gotowość rozstrzygnięcia sprawy orężem.

Co do ewentualnej wojny, to autor wyraża nadzieję, że Anglja uzna konieczność samoobrony Niemiec i nie stanie po stronie ich nieprzyjaciół. Wojna z aliansem francusko-rosyjskim będzie trudna, a główny jej ciężar na wschodzie padnie najpierw na Austrię.

Polityk niemiecki uważa zdanie o niepokonalności Rosji za przesadę, który się w opinji europejskiej ustalił pod wpływem klęski Napoleona. Od tamtych czasów warunki zmieniły się do niepoznania, a zresztą wiadomo, że w kampanji rosyjskiej wielki wódz popełnił mnóstwo błędów, które klęskę jego dostatecznie tłumaczą. Niemniej za przesadę uważa autor inny dogmat, ten mianowicie, iż zwycięstwo nad Rosją byłoby bezowocne. Autor dość zagadkowo napomyka, że w państwie rosyjskiem jest wiele żywiołów obcych; nie wyjaśnia jednak, jaki możnaby z nich zrobić użytek w razie zwycięstwa nad Rosją.

Na głosy powyższe zareagowała, oczywiście, prasa tak petersburska, jak i paryska. Przede wszystkim zrodziło się pytanie, czy alarmy dzienników niemieckich nie obliczone są na wywołanie zamętu, który dałby się wyzyskać przy odnawianiu traktatu handlowego? Zdaniem zaś „Temps'a“, chodzi tu przede wszystkim o przygotowanie opinji do nowych zbrojeń w Niemczech, tudzież o przeforsowanie projektów wojskowych Austrii.

Wśród odezów dzienników petersburskich najmocniejsze wrażenie sprawił artykuł „Birżewych Wiedomosti“, podobno inspirowany przez ministra wojny, Suchomlinowa.

„Rosja—powiedziano tu — która z woli swojego Najwyższego Wodza podniosła bojową moc armji, nie myśli o wojnie, ale jest przygotowana do wszelkich niespodzianek.

„Z dumą możemy powiedzieć, że dla Rosji przeszły czasy grózb z zewnątrz. Rosja nie boi się żadnych okrzyków. Rosyjska opinja publiczna, która z rozsądnym spokojem przyjęła w ostatnich dniach hałas wojenny zagranicą, miała słuszość: nie mamy powodów do wzruszeń.

„Rosja jest gotowa!“

Dalej następują informacje o postępach, uczynionych ostatnimi laty przez armję rosyjską: o zmienionym planie na wypadek wojny—występowania nie z defenzywą lecz ofenzywą; o podniesionym cenzusie naukowym ciała oficerskiego; o świetnym stanie artylerji; o żegludze napowietrznej etc.

„Armja rosyjska—czytamy wreszcie—która zawsze zwyciężała, która zwykle walczyła na terytorjum nieprzyjacielskiem, zupełnie zapomni o terminie „obrona“, który jej tak uporczywie szczepiono podczas przedostatniego okresu naszego życia państwowego. Armja rosyjska, która już w czasie pokojowym urosła o jedną trzecią, która składa się z pułków o jednolitym charakterze, z ulepszonym korpusem oficerów i szeregowców, jest pierwszą na świecie i pod względem liczebnego składu jazdy i ze względu na uzupełniony dział materialny“.

Pochwały te prasa berlińska przyjęła nader krytycznie. Mimo to jednak, ton jej złagodniał nieco—jak słyhać, na wyraźne życzenie sekretarza stanu, Jagowa.

Organ kanclerza, „Nordd. Allg. Ztg.“, pisze, że nikt nie ma zamiaru odbierać zasłużonych pochwał armii rosyjskiej, a całą sytuację ocenia wogóle bardzo wstrzemięźliwie i spokojnie. Zdaniem tego dziennika, burza w prasie, która od kilku tygodni trwa, nie zerwie tradycyjnej przyjaźni między rządami rosyjskim i niemieckim i między temi obu państwami.

Kończy się więc na razie wojna papierowa, co jednak nie przeszkadza dalszym obustronnym zbrojeniom.

W związku ze zbrojeniami temi odbyła się w Petersburgu narada poufna przedstawicieli rządu z reprezentantami frakcji dumskich, wyłączając tylko skrajną lewicę. Niektórzy z posłów usiłowali podnieść konieczność reform wewnętrznych dla wzmocnienia państwa nazewnątrz. Próby te spełzyły na niczem. Zdaniem ministrów, obecna polityka wewnętrzna jest zupełnie odpowiednia, a na wzmocnienie państwa trzeba jedynie nowych kredytów militarnych.

Za gotowych dzielić to mniemanie rząd uznał też i członków Koła Polskiego. Zaufanie — istotnie budujące.

KRONIKA.

= Uniwersytet dla Litwy i Białejrusi.

Rada ministrów odrzuciła projekt 67-u posłów dumskich, założenia uniwersytetu w jednym z miast kraju naszego.

= Zgon.

W Wilnie zmarł, przeżywszy lat 76, dr. Aleksander Wojnicz, prezes tutejszego oddziału Tow. Lekarskiego, przewodniczący kolegium Ewang.-Reformowanego, kierownik miejskiej stacji analitycznej i członek wielu instytucji społecznych. Człowiek rzadkiej prawości, cieszył się ogólną w mieście sympatją.

= Skandal w kościele.

Z kościoła oo. Dominikanów w Berlinie policja wypędziła dzieci polskie, przystępujące do pierwszej komunji.

= Demonstracja w Warszawie.

Studenci-polacy (z uniwersytetu i politechniki), w odpowiedzi na ostatni gwałt policji berlińskiej, powybijali szyby w konsulacie niemieckim, a ściany domu obryzgałi atramentem. Aresztowano 67 demonstrantów.

= Z prasy.

W Warszawie zaczął wychodzić dziennik robotniczy „Nowa Myśl“.

= Nowa ustawa polakożercza.

Rząd doręczył izbie posłów sejmu pruskiego projekt ustawy, poddającej parcelację kontroli administracji.

= Walka o prawa kobiet.

We Lwowie wzmogła się akcja za nadaniem praw wyborczych kobietom, czego reforma sejmowa — wbrew mnogim obietnicom — nie ziściła. Na zwołanym wiecu uchwalono rezolucję, która żąda, by sejm na najbliższej sesji wziął pod rozwagę kwestję politycznego równouprawnienia kobiet. Inaczej będą one zniewolone do podjęcia ostrzejszych, niż dotąd, środków walki.

= Zgon biskupa-hakatysty.

W Opawie zmarł d. 19 lutego (4 marca) osławiony ks. kardynał Kopp, biskup wrocławski. Korzystając ze sposobności, rada m. Krakowa wszczęła starania o przyłączenie księstwa Cieszyńskiego do djecezji krakowskiej. Dotąd, jak wiadomo, Śląsk austriacki należy do djecezji wrocławskiej, a zmarły biskup zasiadał równocześnie w izbie panów pruskiej i austriackiej.

= Wykreślenie z listy adwokatów przysięgłych.

Sąd okręgowy warszawski postanowił wykreślić z listy adwokatów przysięgłych p. Adolfa Suligowskiego za to, że, stając w charakterze świadka, godził się przysięgać tylko po polsku i przed księdzem katolickim.

= **Prof. B. Radziszewski.** jeden z najwybitniejszych chemików polskich, zmarł we Lwowie, przeżywszy lat 76. Z licznych prac jego, drukowanych po polsku, niemiecku i francusku, odznaczają się zwłaszcza badania nad węglowodanami, ciałami aromatycznymi i znakomita rozprawa o fosforescencji, którą objaśniał przez powolne utlenianie.

= Skazanie prof. Baudouina de Courtenay.

Za wydanie broszury p. t. „Nacjonalnyj i terytorjalnyj pryznak w awtonomji“, prof. Jan Baudouin de Courtenay skazany został na dwa lata zamknięcia w twierdzy.

= Ani kroku naprzód.

Uchwalony przez Dumę, rządowy projekt prawa o najmie pracowników handlowych Rada Państwa w całości odrzuciła.

= Losy Finlandji.

General-gubernator finlandzki wniósł do Rady ministrów projekt prawa o wprowadzeniu języka rosyjskiego do biurów urzędów finlandzkich.

Z rozkazu Goremykina do Rady ministrów wniesiony został w trybie nagłości projekt ustawodawczy o wyodrębnieniu dwóch parafji z gub. Wyborskiej.

= Zejście we Lwowie.

Gdy lwowska młodzież rusińska dowiedziała się o wzbrojeniu w Kijowie obchodu na cześć Szewczenki, zgromadziła się tłumnie pod pomnikiem Mickiewicza; następnie miała zamiar urządzić owację konsulowi rosyjskiemu, lecz policja austriacka uchroniła go od tej przyjemności.

= Dzielni bojownicy.

Komitet wszechrosyjskiego zjazdu nauczycieli ludowych zasypywany jest obecnie prośbami uczestników, którzy pragną otrzymać świadectwa, iż w czasie obrad nie zabierali głosu. Zjazd, jak wiadomo, uchwalił szereg postępowych rezolucji.

= Finał procesu w Marmarösz-Sziget.

Trwający kilka tygodni, rozgłosny proces polityczny skończył się wreszcie — niezupełnie pomyślnie dla oskarżonych. Aleksy Kabaluk, główny bohater procesu, uznany został za winnego podburzania ludności do powstania i skazany na 4 i pół roku więzienia. Z pozostałych 30 oskarżonych 7 osób skazanych zostało na więzienie od pół do 2 i pół roku z zaliczeniem więzienia perwencyjnego.

= Król przyjechał.

Po długich namysłach zjawił się nareszcie d. 22 lutego (7 marca) w Durazzo władca Albanji, ks. Wied.

Treść:

Od Redakcji.

W poszukiwaniu ojczyzny — L. A.

Niema tego złego... — Wi—ski.

Szermierze wstecznicstwa — K. Ostachewiczowa.

Z wędrówek po Londynie — M. Dąbrowski.

Urywek (wiersz) — Nora Walicka.

Na marginesie. — Behra.

Wilno—nad Sekwaną — Tis.

Dokoła sceny. — r.

VIII doroczna wystawa Lit. Tow. Sztuk Pięknych — E. Pietkiewicz.

Prasa polska.

Na widokregu.

Kronika.

Odcinek: Marzenie i czyn.—Wacław Makowski.

TOWARZYSTWO KREDYTOWE m. WILNA

Prospekt Ś-to Jerski 5.

Wydaje pożyczki długoterminowe pod zastaw domów i placów niezabudowanych w obrębie miasta. Pod murowane domy i place: na 36 lat 10 mies. i 36 lat 4 mies. na 6½% przy amortyzacji 1%. Pod drewniane na 19 lat 11 mies. na 8½% przy amortyzacji 3%.

Wylosowuje dwa razy do roku w końcu lutego i sierpnia listy zastawne swego T-wa, za które wypłaca sto za sto.

Listy zastawne T-wa są przyjmowane jako kaucja przy wszelkich przedsiębiorstwach i dostawach rządowych i pod zastaw w Banku Państwa po 60 za 100.

Wileńskie Towarzystwo

Wzajemnych Ubezpieczeń od Ognia

egzystuje od roku 1883,

należące do Rosyjskiego Związku Towarzystw Wzajemnych ubez. od ognia z kapitałem 7.000,000 rb.

Asekuruje na warunkach ulgowych nieruchomości i ruchomości w Wilnie, jak również nieruchomości w m. Nowo-Wilejsku, Lidzie, Święcianach, Nowo-Swięcianach, Kownie, Szawlach i Poniewieżu.

Zarząd T-wa w Wilnie, ul. Wileńska № 15.

Biuro czynne codziennie od god. 10 do 3-ej p.p., za wyjątkiem dni świątecznych i sobót (w okresie od 1-go maja do 1-go września włącznie).

Dostępna dla każdego możliwość zakupu działki gruntu

w najlepszej dzielnicy Wilna, w „Zwierzyni”. Miejscowość ładna i zdrowa; las, rzeka. Ceny i warunki dogodne. Śpiesznie nabywać! Do sprzedania pozostała nader szczupła ilość gruntu. Jest to ostatnie przypomnienie! Po informacje należy się zwracać do Biura sprzedaży parceli w Zwierzyni:

Wilno, Zwierzyniec, Prospekt Ś-to Jerski d. № 68. Telefon № 46.

Informacje są udzielane w ciągu całego dnia nie wyłączając świąt.

Nora Walicka. *POEZJE:*

PROMETEJA,

WRÓG,

NA DNIĘ BORÓW

DRZEMIE LICHO.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Magazyn ubiorów męskich

St. Krauzego

kierownika b. firmy „F. Stypułkowski”.

Wilno, Ś-to Jerski prospekt № 31.